

Łódź literacka

CZASOPISMO ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH
Łuty — Marzec 1955

Cena zł 1.20

PAWEŁ KORZEC

ROK 1905 na ziemi łódzkiej

Artykuł niniejszy rozpoczyna cykl prac, jakie „Łódź Literacka”
zamierza poświęcić pięćdziesięcioleciu rewolucji 1905 roku.

W LATACH 1905—7 potencjalnym sojusznikiem klasy robotniczej w Polsce, podobnie jak w Rosji, było chłopstwo. Nawet w tak przemysłowym okręgu jak łódzki nie podobna pominąć kwestii agrarnej i ruchu chłopskiego. Właśnie tu szczególnie szybko działał wpływ dużych skupisk robotniczych. Pod wpływem proletariatu ruch chłopski przybiera coraz dojrzalsze formy. W toku rewolucyjnych wydarzeń, mimo przeciwdziałania burżuazyjnych partii, obszarnictwa i kleru, mimo błędów rewolucyjnej SDKPiL, zaczyna narastać braterski sojusz robotniczo-chłopski, uwytłaczają się inspirujące i kierownicze role klasy robotniczej w rewolucyjnej walce chłopstwa.

Zasadniczym elementem stosunków panujących na wsi polskiej był antagonizm między drobnym i średnim chłopstwem a dworem. Kością niezgody była tu niezłałatwiona od 1864 roku sprawa serwitutów, trwająca od lat czterdziestu walka chłopstwa o lasy, łąki, pastwiska i inne użytki. Spory z dworem ciągnęły się latami; w procesach sądowych wygrywali, rzecz jasna, obszarnicy, a zrozpaczeni chłopci dopuszczali się samowolnego wypasania dworskich pastwisk, koszenia dworskich łąk i wyrębu dworskich lasów. Wypadki te pociągały za sobą ostre represje: chłopów karano długoletnim więzieniem, katorgą — zdarzały się nawet wyroki śmierci. W tej sytuacji stosunki zaostrzały się coraz bardziej, rosła nienawiść chłopstwa do obszarników.

Jednocześnie na skutek przechodzenia obszarnictwa na tory gospodarki kapitalistycznej i szybkiego procesu rozwarstwienia na wsi polskiej powstała liczna warstwa proletariatu wiejskiego. Tworzyła go przede wszystkim służba folwarczna, robotnicy wolnonajemni, parobkowie pracujący u kuteków itp. Proletariat wiejski cierpiał z powodu podwójnego wyzysku: kapitalistycznego i feudalnego. W zamian za nędzne utrzymanie i mieszkanie w czworakach robotnik rolny zmuszony był wraz z rodziną do ciężkiej pracy. Komornicy w zamian za kawałek ziemi i mieszkanie zmuszeni byli nie tylko do obróbki określonej ilości dni na pańskim, ale również do przymusowego, póżdarmowego najmu i do różnych innych świadczeń. Potworny wyzysk ze strony obszarnictwa spowodował, że proletariat wiejski stał się najbardziej rewolucyjnym elementem wsi polskiej.

Bliskość miast i osiedli przemysłowych, rozproszenie chałupnictwa po wioskach okręgu łódzkiego, wszystko to sprzyjało szybkiemu przetrzepaniu się ruchu rewolucyjnego z miasta do wsi. Wielką rolę w przeniesieniu ruchu strajkowego i walki rewolucyjnej na

wieś odegrał proletariat drobnych fabryk włókienniczych oraz spożywczych znajdujących się nieraz na wsi. Tak np. w początku marca 50-osobowa grupa robotników-włókienników z fabryki wsi Wojciechów, obchodząca okoliczne wsie wzywając robotników wiejskich fabryk spożywczych i robotników rolnych do walki strajkowej. Pod wpływem tej agitacji wybuchły strajki robotników gorzelni Krygera we wsi Niechcice w gminie Rospza, w fabryce drożdży i gorzelni Sielvogela we wsi Wola Krzysztoporska itp. Podobnie jak w mieście, robotnicy ci wysunęli żądania 8-godzinnego dnia pracy, podwyżki płac i szeregu innych postulatów. Strajk zakończył się zwycięstwem robotników.

Fakt oddziaływania klasy robotniczej w kierunku rozbudzenia walki rewolucyjnej chłopstwa potwierdzają liczne dokumenty władz carskich. W jednym z raportów gubernatora piotrkowskiego czytamy: „Niepokojące wydarzenia ostatnich czasów, będące rezultatem rozbudzenia nastrojów walki wśród ludności fabrycznej..., nie minęły bez śladu i bez wpływu również na ludność chłopską... Naśladując przykład robotników, usiłujących drogą nielegalną osiągnąć zamierzone cele, chłopci zaczęli te same metody stosować w swoich nieporozumieniach i serwitutowych sporach z obszarnikami”.

W okresie narastania kryzysu rewolucyjnego w latach 1900—1903 w samych tylko lasach państwowych liczba ujawnionych wypadków wyrębu lasów wynosiła średnio około 33.000 rocznie. Nic zatem dziwnego, że walka o lasy, łąki i inne użytki stała się w 1905 roku w całym Królestwie, jak również w okręgu łódzkim, najpospolitszą formą walki szerokich mas chłopstwa.

Pierwszy wypadek masowego i zorganizowanego wyrębu lasów państwowych miał miejsce w powiecie piotrkowskim w dniu 10 marca. Zaalarmowany zastępca naczelnika powiatu zastał w lesie około 50 wozów chłopskich załadowanych drzewem. Chłopi, mieszkający okolicznych wsi Zalesie, Witów i Kłodzice, na pogróżki urzędnika carskiego odpowiedzieli, że nie zamierzają umierać z głodu i zimna i że mają prawo brać drzewo w lesie państwowym. W tymże piotrkowskim powiecie w pierwszej połowie marca chłopci wsi Żywocin w gminie Bogusławice wraz z żonami i dziećmi, uzbrojeni w siekiery i kije, napadli na leśnictwo Wasiliewo i zdemolowali zabudowania leśnictwa. Przyczyną napadu były roszczenia chłopów do terenu, na którym zbudowano leśnictwo.

Do masowego wyrębu lasów doszło na terenie majoratu Łęczno ze strony chłopów ze wsi Łęczno, Biała, Włodzimierzów i Barkowice. Tylko z Białej w akcji wzięło udział 150 chłopów. Tłumaczyli oni interweniującym wła-

dzom carskim, że mają prawo do wyrębu lasów z racji swoich praw serwitutowych. Na wielokrotne podania w tej sprawie nie otrzymali ani razu odpowiedzi i to ich skłoniło do samowolnego wyrębu.

Chłopi wsi Wistka, Makowisko, Gachcice, Rylejów, Madryń, Marzeńce i Łódzi w gminie Pajęczno powiatu radomszczańskiego kilkakrotnie wielkimi partiami urządzali masowe wyręby w lesie pajęcznowskim. Steroryzowana straż leśna bała się w jakikolwiek sposób przeciwdziałać.

Powiat radomszczański stał się też terenem szczególnie ostrych konfliktów między wsią a dworem. Już w początku marca obszarnik Skarbek-Borowski doniósł gubernatorowi, że sąsiadujący z nim chłopci zjawili się u niego tłumnie i złożyli mu pismo z kategorycznym żądaniem załatwienia ich pretensji serwitutowych grożąc mu w przeciwnym wypadku użyciem siły.

Do ostrych zatargów doszło też na terenie majątków Borowno, Kłomnice, Chorzenie i Zdrowa w powiecie radomszczańskim. Właściciele tych majątków w piśmie do władz carskich uskarżają się na systematyczne naruszanie przez chłopów własności dworskiej, na zajmowanie pastwisk, lasów itp. Przy okazji obszarnicy nie omisszali zadecydować aktywniejszych działaczy ruchu chłopskiego.

Właściciele majątku Zamkowa-Wola koło Rawy Mazowieckiej, Kotlińska, zwróciła się do władz z prośbą o pomoc wojskową, skarżąc się, że mieszkańcy Rawy Mazowieckiej samowolnie wypasają bydło na jej terenach. W związku z tą skargą do Rawy skierowano oddział piechoty.

Najpoważniejszym ogniskiem ruchu chłopskiego był okręg nadpilicki. Na terenie tym znajdowała się rezydencja carska w Spale i lasy będące własnością cara, stanowiące ulubiony teren myśliwski Mikołaja II. Zastępca generał-gubernatora warszawskiego pisał w połowie kwietnia w raporcie do swego zwierzchnika: „Obserwuję się obecnie niebywały ruch wśród chłopów... szczególnie wrogi wobec policji, żandarmerii i innych urzędników, w ogóle do wszystkiego co nosi miano rządowego lub państwowego. Szczególną zwłaszcza zuchwałością odznaczają się chłopci wsi w rejonie lasów nad Pilicą. Chłopi tych wsi prawie bez wyjątku zaopatrzyli się w broń, niszcząc bez opamiętania dziczyznę; pojedynczo lub często całymi wioskami wdzierają się do lasów Jego Wysokości. Próby zaś leśniczych i policji odebrania broni u kłusowników, wywołują prawie zawsze napady całych wiosek, przy czym są często wypadki pobicia policji, żandarmerii i straży leśnej”. Zastępca generał-gubernatora przerażony był ewentualnością przyjazdu cara do Spali i uważał, że należy podjąć wszelkie środki dla zlikwidowania ruchu. Obok drastycznych środków proponuje szybkie załatwienie spornych spraw między chłopami a administracją lasów. Ze względu zaś na rozpaczliwe położenie chłopów na skutek nieurodzajów należało by jego zdaniem udzielić niektórym chłopom pożyczki na siewy oraz uruchomić jakieś roboty publiczne.

Naczelnik powiatu rawskiego, któremu te tereny bezpośrednio podlegały, uskarżał się, że posiada niedostateczne siły dla zapobieżenia samowolnemu wy-

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Młodość miasta

„Patrz na to wszystko stary „łyk” — patryjusz,
biskupich mieszczan potomek, patrz! zdumionymi
oczyma”.

Z. Lorentz — „Narodziny Łodzi nowoczesnej”.

O, dziwne miasto, dziwne drożdże,
Na których rośnie wciąż wduż traktu,
Wonią bielidła drapie nozdrze,
Słuch rani stukiem manufaktur!

Młyn foluszowy wypycha w Jasień,
Lasy wygania za pagóry
I każdy słodki strumień skwasi
Rdzawym naciekiem apretury.

Gdzie tylko gapy mknęły kracząc
Błyska goniami drewniak setny...
A już po dalszych brzdach skaczą
Z czerwoną tyką geometry.

I bezherbowy jakiś Gayer
Wznosi nad kościoł gmach ceglany,
I jak dziwadła z mrocznych bajek
Chaty klekoczą jak bociany...

Och, hałas, hałas! Z brzaskiem słońca
Gna ku Rokitnu fur bez liku;
Machina parą żygająca
Już płynie z wyspy Angielczyków;

Wór się rozpruwa z przechodzącami —
Fajczaste lutry i michele...
Nowymi chadza młodź drogami,
Włos siwy ceniąc niezbyt wiele.

Jeno w niedzielny zmierzch w cichości
Starsi gawędzą na Podrzecznej —
O cnym biskupie — panu włości,
O Łodzi dawnej i statecznej.

O tym, jak Rafał wojażował
Do gwiazd, aż ochrzczył lud księżycą...
A księżyc pelga jak woskowa
Świeca i płynie iza po licach.

— „I cóż wy na to, moi mili?
Tyle nowego niby w grodzie,
Ci ślęczą, tkają... Co zdobyli?
A trzos Gajera grubszy co dzień!”

Kiedy tak gwarzy się w cichości,
W głowach się robi jakoś jasniej.
Chłodny wiatr powiał z Radogoszczy,
Nagle nad lasem ptactwo wrzaśnie...

Tam w ciemnej czapie trójgraniastej
Boruta zaniósł się chichotem
I mięsi drożdże złego miasta
I fabrykantów darczy złotem.

pasowi była w lasach lubocheńskich i spalskich. Chłopi — pisze on — twierdzą, że jest im obojętne, czy umrzeć pod nahażką kozacką, czy też z głodu, w razie niemożności wypasania bydła w lesie, że czynią to nie z samowoli, lecz na skutek konieczności. Naczelnik powiatu był zdania, że los chłopów jest rzeczywiście tragiczny i że nie należy ich doprowadzać do ostateczności. W związku z tym proponował, aby oficjalnie zezwolono na wypas bydła w lubocheńskich lasach.

Bardziej jeszcze zaostrzyła się sytuacja w okręgu spalskim, gdy rząd carski wskutek strasznego nieurodzaju i pod wpływem stale rosnącego ruchu chłopskiego w całym imperium zmuszony został do pewnych ustępstw na rzecz chłopstwa. Zezwolono mianowicie chłopom na bezpłatny wypas bydła, zbieranie chróstu, jagód i grzybów w lasach państwowych. Lasy spalskie jako należące do dóbr prywatnych cara nie podlegały tym ulgom, jednakże chłopci nie chcieli uznać tego stanu rzeczy i po ogłoszeniu w prasie zarządzeń o poczynionych przez rząd ustępstwach wyrąb lasu i wypas bydła w lasach Księstwa Łowickiego jeszcze bardziej przybrały na sile.

Drugą bardzo rozpowszechnioną formą walki rewolucyjnej i narodowo-wyzwoleńczej chłopstwa w okręgu łódzkim był tzw. ruch gminny — walka o spolszczenie administracji i samorządu gminnego, o wprowadzenie języka polskiego do szkół wiejskich. Pierwsze wystąpienia na tym gruncie miały miejsce już na przełomie stycznia i lutego, a więc w kilka dni po wybuchu strajku powszechnego w miastach okręgu. Jest to szczególnie charakterystyczny i, należy sądzić, nie przypadkowy. Ruch gminny rozpoczyna się najwcześniej w osiedlach rolniczo-przemysłowych, tam, gdzie więź między proletariatem i półproletariatem a chłopstwem jest najmocniejsza, tam, gdzie przykład walczącego proletariatu fabrycznego działa bezpośrednio.

Tak np. na terenie okręgu łódzkiego pierwszy przejaw ruchu gminnego wystąpił na terenie gminy bełchatowskiej. W końcu stycznia 1905 roku zebranie gminne obradujące w rolniczo - robotniczym osiedlu Bełchatów w powiecie piotrkowskim uchwaliło wprowadzenie języka polskiego do urzędu gminnego i do szkół wiejskich. O dojrzałości politycznej i internacjonalizmie przenikającym do środowiska chłopskiego świadczy fakt, że uchwała przewidywała wprowadzenie niemieckiego języka wykładowego do tych szkół, do których uczęszczała większość dzieci pochodzenia niemieckiego.



Rys. B. Liberski

Podobnie brzmiąca uchwałę jednomyślnie przyjęło 229 osób uczestniczących w zebraniu gminnym w Lutomerku, podłódzkim osiedlu zamieszkanym przez ludność mieszaną: rolniczą i robotniczo-chałupniczą. W marcu ruch gminny rozszerzył się obejmując przeważającą ilość gmin na terenie łódzkiego okręgu przemysłowego. Tak np. w powiecie łaskim ruchem gminnym objętych zostało 6 gmin (Wodzierady, Lutomer, Wygłizłów, Wymysłów, Buczek i Bałucz), w powiecie piotrkowskim 7 gmin (Krzyżanów, Uszczyn, Bełchatów, Bujny, Woźniki, Kamieńsk, Bogusławice) itp.

Naczelnik powiatu pabianickiego donosząc w początkach marca o wystąpieniach chłopskich na terenie powiatu z żadaniami wprowadzenia języka polskiego do urzędów gminnych i szkół podkreśla, że ruch ten jest wynikiem żywych kontaktów tych gmin z Łodzią i Pabianicami, a także znacznego wpływu strajkujących robotników z miast fabrycznych na wieś.

Ruch gminny nie ograniczał się do postulatów spolszczenia urzędów gminnych i szkół wiejskich — niekiedy przybierał o wiele radykalniejsze formy, jak odmowa płacenia podatków, odmowa dostarczania podwód policji i urzędnikom carskim itp. Uchwałom o wprowadzeniu języka polskiego do urzędów gminnych częstokroć towarzyszyło niszczenie wywieszek rosyjskich z carskim godłem państwowym i niszczenie portretów carskich.

(dokończenie na str. 2)

Od następnego numeru począwszy
„Łódź Literacka” ukazywać się będzie
regularnie jako dwutygodnik

OPOWIEŚĆ PEDAGOGICZNA

NA GRUDNIOWEJ wielkiej nardzie w sprawach wychowawczych, zorganizowanej przez KC Partii, padło znamienne oświadczenie:

„Sprawa wychowania młodzieży nie jest i nie może być monopolem Związku Młodzieży Polskiej. Już sam fakt, iż w narodzie obok pedagogów, literatów, działaczy politycznych, artystów, filmowców, brali udział sportowcy, działacze młodzieżowi, pracownicy kulturalno-oświatowi i inni świadczą, iż organizatorzy narady zapraszają do pracy wychowawczej najszersze warstwy społeczeństwa.

Użyjmy przykładu Liceum Kulturalno-Oświatowego dla Kierowników Świećlic w Rożnicy (woj. kieleckiej), w którym znalazła się młodzież chłopska (w większości, około 57%), robotnicza i inteligentka, młodzież ze wszystkimi swoimi zaletami i wadami. Otóż nie mało tej młodzieży tułało się w pierwszych latach niepodległości po świecie, bywało na wozie i pod wozem, mieszkało w domach robotniczych, w hotelach, mało już za sobą różne konflikty z prawem, z władzami. Obok tego rodzaju „bywalców” byli i zwyczajni, prości chłopcy ze wsi, którzy nie widzieli świata, przyszli do szkoły, by uczyć się, czytać, pracować lub po prostu traktowali szkołę jako drogę awansu społecznego, wrota do kariery, lepszych zarobków przy minimalnym wysiłku.

Po pewnym czasie nas, wychowawców, ogarnęła nieomal mania poszukiwania uczniów „niezwykłych”, o romantycznej przeszłości, trudnych, opornych. Ze znużeniem wysłuchiwałem oklepianych życiorysów, w których nie było nic z wielkich przygód. Szaraczków takich traktowaliśmy pobłaźliwie, nie taje, iż nawet z pewną rezerwą. O dziewczętach mówiło się „kura domstka”, o chłopcach — „cieple kluski”. I dotąd jeszcze twierdzi, iż do brymli drożdżami w naszym kolektynie byli często chłopcy „z przeszłością”, chłopcy, którzy poćąg do wódki, bzdurnych wybryków, systematycznego łamania wszelkich przepisów, zmienił na pracę społeczną, wielkie pomysły twórcze, wspaniałe, porównując metody pracy w świetlicy, w gromadzie, w czytelnicy.

Muszę powiedzieć, iż pewne osiągnięcia wychowawcze zadowolają nie tyle może programem szkolnym i nie wyłącznie pracy kolektywnej wychowawców, ile w pierwszym rzędzie jednolitej postawie całego otoczenia, a więc nauczycielom obu naszych szkół (średniej i podstawowej), chłopcom-spółdzielcom i indywidualnym, sklepowym w sklepach GS, kierownikom gospody, aktywistom i prostym, nieznanym ludziom, którzy rozumieją, że również od ich postawy zależy wychowanie młodego pokolenia.

Tak zwana pedagogizacja rodziców i w ogóle ludzi dorosłych prowadziła stale, przy każdej okazji, w świetlicy i w oborze, przy młocke i sianokosach, na zabawie i przed sklepem. Wszyscy mieszkańcy naszej wsi znają naszych

uczniów, i tych trudnych, i tych zwyczajnych, i wszyscy bez wyjątku są dumni ze swego dzieła wychowawczego.

Jeśli K. pożyczyci po kryjomu od pewnej gospodyni 50 zł; na cele bliżej nieokreślone, to o pożyczce tej wie nazajutrz cała gromada i bacznie obserwuje, na co pieniądze będą wydane, a sama pożyczająca traktuje sprawę jako eksperyment wychowawczy tak konsekwentnie, jak przystało na dobrego, wytrawnego pedagoga.

Z drugiej jednak strony, jeżeli obywatel K. prowadzi kreć robotę przeciwko zbiorowej dostawie zboża lub agituje przeciwko kandydatom Frontu Narodowego, to o wszystkich jego machinacjach doskonale jest poinformowana cała młodzież szkolna, która z kolei alarmuje gromadę i ukazuje jej istotnych sprawców dywersji.

Do tej jednolitej postawy, owego zespolenia się szkoły ze środowiskiem, doszło się oczywiście nieprędko. Był to długi i żmudny proces, ale bodaj czy nie najważniejszy.

W szkole, naszej do tradycji należy zwyczaj poznawania młodzieży z miejscowymi działaczami, członkami spółdzielni produkcyjnej, starymi KPP-owcami, ludowcami, radykalnymi wiciarzami. Zyciorysy tych ludzi to tomy sensacyjnych, romantycznych powieści, to urzekające opowiadania, których młodzież wysłuchuje z wypiekami na twarzach, które stają się na długie miesiące tematem żaźartych dyskusji. Myślę, że żaden Sherlock Holmes, żaden Conan Doyle czy Nat Pinkerton nie dorówna nigdy fantastycznej biografii takich naszych spółdzielców, jak Wiciński, Ciosek, Krzosa i inni, którzy przed pościgiem granatowej policji uciekali po dachach pocągów pośpiesznych, przebiegali się w babskie spodnie na jarmarkach lub w biały dzień wspinali się na słupy telegraficzne, by na oczach policjantów wywieszać czerwone sztandary. Jakże pałają i nienawidzą, i triumfem oczy młodzieży, gdy Wiciński opowiada im, jak to wobec całej gromady świeckich i duchownych dostojników rzucił w twarz przeorowi w Żółkwi dwadzieścia złotych, jałmużnę, którą dano mu jako rekompensatę za usunięcie ze szkoły ze względu na „niskie” pochodzenie.

— Trzeba było drania w morde — woła nie panując nad sobą Ryśkiewicz, ten sam, który jeszcze przed rokiem wypijał do łóżka ciwarkę „na sen”. A cała sala protestuje i zgodnie oświadcza, że i tak dostał za swoje, chodzi tylko o bliższe wyjaśnienie, czy banknot istotnie trafił w twarz tego draba.

I tak, powoli zadzierga się trwałą więź przyjaźni między młodzieżą i starszym społeczeństwem, tam starści przekazują swoim następcom najdroższą spuściznę, najpiękniejsze ideały, najsłabsze myśli i uczucia. Młodzież poznaje patriotów nie tylko z książki, uczy się kochać nie z frazeologicznych pogadek lub cikiwych referatów. Chłopcy i dziewczęta widzą i na codzień obcuje z ludźmi, którzy przed kilkunastu laty igrali ze śmier-

cią, ciężkim więzieniem, borykali się z nędzą i biedą, byli w dosłownym, młodzieżowym znaczeniu bohaterami, a dziś orzą, sieją, pracują w POM, w PGR, spółdzielniach produkcyjnych, cieszą się z małych, niepozornych osiągnięć i walczą również o małe, bynajmniej nie efektowne i nie „romantyczne-awanturnicze” sprawy.

To jest ważne. Z wielu względów. Starsi są dumni, puszą się niemal, że mogą brać bezpośredni udział w wychowaniu młodzieży uczącej się w szkołach średnich, które były dla nich dawniej nieosiągalne, młodzi zaś mają gotowe wzory postępowania na miejscu, a organizacja zetemowska zamiast nudnych, nieciekawych szkoleń — materiał do dyskusji, zacerpnity z żywej historii.

Nie należy stąd oczywiście wyciągać daleko idących wniosków. Nie wszędzie, być może, mieszkają starzy kapepowcy, działacze ludowi, alowcy lub inni bojownicy. Ale prawie wszędzie są lokalne, piękne, wzruszające tradycje walk o ojczyznę, o sojuszników robotniczo-chłopski, o polską szkołę, polski język, polskie narodowe tradycje. Na tych lokalnych spuściznach, wiążąc je z żywymi ludźmi, należy w pierwszym rzędzie, zdaniem moim, budzić w młodzieży głęboki patriotyzm.

Do dobrych obyczajów naszej szkoły należą popularne, i wśród młodzieży, i wśród dorosłych, sobotnie konkursy czytelnicze i niedzielne spotkania w świetlicy. Piszę o nich z prawdziwym wzruszeniem, gdyż na to, aby wieczory te stały się tak atrakcyjne i tak gorączkowo wyczekiwane przez wszystkich jak dzisiaj, złożyły się wysiłki wielu ludzi, młodych i starszych. Pierwszy wieczór, jeszcze przed kilkunastu laty, zainaugurował dwudziestolletni Mundzio Ł. Stał na podeście w całej swej krasie: fryzuryka w mandolinie, długa, wytuszczona marynarka, króciutkie, wąskie spodnie, nonszalancko pochylona główka, rączka w kieszeni, połykał końcówki, wymawiał przesadnie „e” i „a” i od czasu do czasu, gdy tracił wątek, przytykał głośno palcami. Sala słuchała go z miernym zainteresowaniem, wodziła oczami za każdym jego ruchem i wszyscy wiedzieli, że to ten sam Mundzio, którego usunęli już z trzech szkół za chuligaństwo, a któremu groziło wyrzucenie i z naszej szkoły za picie alkoholu i notoryczne lenistwo. Jakże wzruszający był moment, gdy Mundzio, który kolegów Janików nazywał z angielska „Johnami”, a do Maryśki S. mówił „Mary” lub „my darling”, ośniony i oszołomiony oklaskami, wzruszony pozytywną oceną jury, zaczął nerwowo trzeć czoło, coś sobie usiłował gwałtownie przypomnieć i nagle, wbrew przepisom, z własnej inicjatywy „na bis” zadeklamował z charakterystycznym akcentem nadwiślańskim wyjątek z „Trenów” Kochanowskiego, którego się pewnie nauczył jeszcze w szkole podstawowej, a teraz wygrzebał z pamięci pod wpływem silnego wzruszenia i głębokich przeżyć.

Nocny stróż

Wiśniowy kij — na pośmiewisko!
Choćby karabin w rękę dał.
Nie hutniczego paleniska,
piecyka — śmiech! — pilnuje stary.

Na świat przychodzić było śpieszno
Teraz za późno. Inne czasy.
Krzyże i stawy skrzypią, trzeszczą
jak zardzewiałe zawiasy.

Ze serce pójść gotowe w tany?
Za mało tego, dziadku, mało...
Trzydzieści kroków wzdłuż parkanu —
komu się one przydadzą?

Ostatnia zmiana wraca rano,
młokosy, ledwo wyległe...
Mijają dziadka: „Spać... Dobranoc!”

A jeden powiedział: „Kolego...”

Sala naleźycie oceniła ten wysiłek Mundzia. Gratulacjom nie było końca, a Mundzio promieniał i wykuwał potem na pamięć olbrzymie fragmenty prozy i poezji.

Konkursy sobotnie polegają na streszczaniu i krytycznym omówieniu książki przeczytanej w ciągu ostatniego tygodnia. Nie ma żadnych ograniczeń. Chodzi tylko o to, aby książka nie była objęta spisem lektur obowiązkowych i aby opowiadający wypożyczył ją w bibliotece szkolnej. Do konkursu zgłasza się czterech — pięć osób. Jury, jak również cała sala zwracają uwagę na treść i formę, na „ostawę” mówiącego, jego dykcję itp. Decyzję jury są ostateczne i nieodwołalne, jeśli chodzi o przyznanie miejsca lub nagrody książkowej. Wyróżnia się zarówno opowiadających, jak i dyskutujących, pod koniec bowiem wieczoru odbywa się publiczna dyskusja, a wierzcie mi, że raczej grzesznik przejdzie przez ucho igielne, niż ujdzie uwagi zebranych. Chodzi o to, aby popelniony przez opowiadającego. W dyskusji zabiera głos młodzież w wieku od 14 do 28 lat, szkolna i nieszkolna, stali bywalcy ze wsi i okolic, nauczyciele, przygodni goście i w ogóle wszyscy, którzy tego wieczora znajdują się w szkole lub na wsi. Dziś wielu spośród tych uczestników konkursów sobotnich wyrobiło się na dobrych mówców, przemawiających oszczędnie, ale i ze swadą, przede wszystkim zaś wyrosli miłośnicy czytelnictwa, u których czytanie przeszło w... nałóg. Ale w pierwszym roku były trudności, pozornie nie do pokonania. Szczególnie chłopcy „ze świata” traktowali tę imprezę wręcz wrogo, demonstrowali swoją pogardę do „tej dziecinady”, w najrozmaitszy sposób przeszkadzała, namawiali gorliwych do lekceważenia uchwały samorządu, kpili z nich, sztyyli, ośmieszali. Byli i takie wypadki, że opowiadający obawiając się krytyki wykuwał na pamięć dziesięć — dwanaście stron tekstu!

I znowu w opowianiu sytuacji doprowadził jednolity front starszych i młodych, rozumiejących swoją rolę mieszkańców naszej gromady, spółdzielców i indywidualnych gospodarzy, nauczycieli, urzędników GS, piekarni, sklepowych oraz aktywistów szkolnego koła ZMP.

Wszyscy bez wyjątku wykazali maksimum dobrej woli, cierpliwości, uporu i wiary, iż pod długą marynarką i ekscentryczną kszułką bije — wybaczenie ten mimowolny frazes — gorące, młodzieńcze serce.

Nasze niedzielne zajęcia świetlicowe, na które składają się i pogadanki ilustrowane krótkometrażówkami, śpiewy i tańce, gry i oboche zabawy, w których każdy może wyżyć się do syta — przeniesione zostały w tym roku ze świetlicy szkolnej do gromadzkiej. Znakiem ostatniego oporu i granicę działającego szkoły od gromady, nastąpiło całkowite uzgodnienie zarówno planów, wspólnych planów wychowawczych i produkcyjnych, z metodami działania, z wykonawstwem. Nie zachodzi już obawa, aby ktoś chciał te plany porzucić. Szkoła przestała niepokoić się o to, aby ludzie ze wsi mogli „zgorszyć” młodzież i odwrotnie, aby młodzież krepowała swą obecnością starszych. W czasie apelu wieczornego ostro krytykuje się przebieg wieczoru, nie szczędząc nikogo, a najwięcej tych, którzy za zajęcia świetlicowe byli tego dnia odpowiedzialni.

Jasne, że atmosferę tę raz po raz zakłóci, bądź to jakiś wybryk młodzieńczy, bądź złośliwa ośzczerza plotka miejscowego oddziału BBC, bądź wreszcie jakaś dostojna wizyta gościa, który zaskoczony prostotą i absolutną równowagą panującą w świetlicy domaga się uroczyście powitań, specjalnych względów, tuszu orkiestry.

Indagują nas często koledy po fachu, czy przy tak dużym obciążeniu różnymi zajęciami społecznymi, świetlicowymi, rozrywkami kulturalnymi, nie traci sama nauka? Czy młodzież ma czas na normalne odrabianie lekcji, czytanie prasy codziennej, a wreszcie na odpoczynek, na chwilę dla siebie.

W procesie wychowawczym trzeba być drobiazgowym. Ta drobiazgowość nauczyła nas wszystkich liczyć minuty. Dwudziestominutowa przerwa między zajęciami można doskonale wykorzystać na absolutny odpoczynek w ciszy czytelnicy lub w parku. Jeśli zaś chodzi

o czas na lekcję, to przecież ta sama młodzież w innych warunkach ma w godzinach wolnych od zajęć nieprawdopodobnie wiele czasu na różne wybryki i okazuje się, że sztuczne obciążanie jej nadmiernymi zajęciami pozalekcyjnymi bynajmniej nie wpływa na zmniejszenie objawów chuligaństwa. Mundzio Ł., o którym wspominałem wyżej, zwierzał się kiedyś swoim przyjaciółom:

„Dawniej, psiakość sioniowa, całymi godzinami waleśałem się po mieście, przewracaliśmy całą dzielnice do góry nogami i jeszcze się człowiek nudził, jeszcze nie wiedział, co robić z czasem. Dziś ciągle mi brakuje, holender, tych zatraconych minut, ciągle nie mogę się pozbyć, mam zaległości, z których nie mogę wyrwać. A przecież i na pogawędkę przy papierosie w palarni też ma się trochę czasu”.

Jeśli zaś chodzi o czytanie prasy, to jest to kwestia wprawy, mamy takich mistrzów, którzy codziennie przy wszystkich swoich zajęciach czytają dwa — trzy pisma, wybierając z nich to co najciekawsze.

Dzienny rozkład zajęć jest zaś tak ułożony, że każdemu starczy czasu na wszystko: na naukę, pracę społeczną, czytanie, odpoczynek, dokładną toaletę i jeszcze na flirt, który tu uprawia się bez uprzednich referatów na temat, czy chłopiec może pocałować dziewczynę...

Właściwym celem tej pracy to wskazanie różnych form pracy kulturalno-oświatowej w świetlicy gromadzkiej, a przede wszystkim przekazanie miejscowej młodzieży zapachu i wiary w lokalne możliwości rozbudzenia życia kulturalnego na wsi, tej wiary, która nieodłącznie towarzyszy naszym uczniom.

Wiele radości daje ta praca naszej młodzieży. Nielada bowiem sukcesami może się ona poszczycić. Brygada Jerzego Siedzia chlubi się np. proporcem Ministra Kultury, uzyskanym przez podopieczny zespół świetlicowy w Słupi, brygada Pajackowskiego opiekuje się świetlicą w Sieńsku, Bastrzyka — Wywiele itd. Takie osiągnięcia napawają i dumą i wiarą we własne siły, zachęcają do nowych, śmielszych pomysłów, coraz to lepszych form pracy. Szlachetna rywalizacja między brygadami zacieśnia więzy przyjaźni między chłopcami i dziewczętami, u których tak trudno w niektórych środowiskach młodzieży. Nadto budzi się wśród chłopców poczucie odpowiedzialności za każde słowo, każdy czyn, poparte głębokim zaufaniem, jakim ludność miejscowa darzy swoich młodzieńskich opiekunów.

W czasie tych niedzielnych wypraw do gromad, teoretycznie biorąc, młodzież nie jest kontrolowana. Brygady wychodzą same, same organizują zajęcia i same, bez opieki wychowawcy wracają nierzadko o późnych godzinach nocnych. W ciągu kilku lat raz tylko zdarzył się wypadek, kiedy chłopiec o słabszej woli uległ namowom i nadużył alkoholu. Sam odcierpiał ten wypadek najbardziej. Cała akcja zaś polegała na obopólnym zaufaniu, wynika z tych samych trosk o podniesienie kultury na wsi, o nadanie jej właściwych treści.

Wszystko, co powiedziałem, jest tylko nader skromnym wycinkiem wielkiego procesu wychowawczego obliczonego nie na miesiące i nie na rok. Wolno jednak sądzić, iż zbiorowy wysiłek całego społeczeństwa, wiara starszego pokolenia w olbrzymie, wciąż jeszcze nierozbudzone talenty naszej młodzieży, w jej zapał i młodzieńczy entuzjazm, wreszcie żelazna konsekwencja i jednolite formy działania — osiągną w całej pełni właściwe rezultaty.

O tę jednolitość w tej chwili, po reorganizacji rad narodowych, nie trudno. W komisjach oświaty i kultury rad wszystkich szczebli winien skoncentrować się zbiorowy wysiłek wychowawców, działaczy politycznych, organizatorów masowych i aktywów ZMP, którzy też wreszcie powinni zrozumieć, że rady narodowe czuwają m. in. i nad działalnością tej wielkiej, o pięknych tradycjach i jeszcze piękniejszych perspektywach, wszystkim nam bardzo drogiej połącznej organizacji młodzieżowej.

ROK 1905

(dokończenie ze str. 1)

Stopniowo przenikała z miast do wsi fala strajku szkolnego łącząc się tu z ruchem gminnym. W wielu miejscowościach do szkół przychodziły gromady chłopów i po odczytaniu rezolucji o konieczności wprowadzenia języka polskiego zabierały dzieci ze szkół. Wypadki takie miały już miejsce 15 lutego w powiecie gostyńskim, 28 lutego w powiecie nowomińskim i łowickim.

Również w okolicach Łodzi ruch szkolny na wsi przybrał szerokie rozmiary. Tak np. 23 lutego uczniowie elementarnej szkoły w Rzęczy zebrał się w liczbie 83 i jednogłośnie oświadczyli nauczycielce Różyskiej, że żądają wykładów w języku polskim i zgadzają się na lekcje rosyjskiego jedynie 2 razy w tygodniu. Na wyjaśnienia nauczycielki, że obowiązana jest do przestrzegania programu, oświadczyli, iż przestaną chodzić do szkoły. Nie pomogły groźby nauczycielki. Badane przez władze dzieci oświadczyły, że nikt ich do strajku nie agitował.

W połowie lutego 150—200 chłopów osady Jeżów gminy Popień zjawili się w gminnej szkole oświadczać, że nie będą przysyłać dzieci do szkoły, dopóki nie zostanie wprowadzony polski język nauczania.

Cały szereg dokumentów archiwalnych potwierdza fakt, że podobnie jak w mieście ruch szkolny na wsi miał dojrzały charakter polityczny i łączył w sobie elementy walki rewolucyjnej i narodowo-wyzwoleńczej. Tak na przykład, w końcu lutego młodzież szkolna w Sulejowie (50—60 osób w wieku od 10 do 16 lat) urządziła demonstrację. Dzieci niosły wiele sztandarów czerwonych, a obok tego czerwono-białych z białym orłem i napisem „Niech żyje Polska”. Demonstracji tej towarzyszyły tłumy dorosłych mieszkańców osiedla,

którzy udaremniili próby rozproszenia dzieci podjęte przez miejscowych policjantów.

Rozwijający się coraz bardziej ruch chłopski, coraz częstsze skargi obszarników nie pozostały bez echa. Ruchem chłopskim w Królestwie zainteresowały się centralne władze w Petersburgu. Gubernatorzy otrzymują od ministra spraw wewnętrznych Bułgina polecenie natychmiastowego i bezpośredniego zawiadamiania ministra o wszelkich przejawach ruchu chłopskiego, zarówno skierowanych przeciw obszarnictwu, jak i przeciw rządowi. Wiceminister spraw wewnętrznych Trepow zawiadamia gubernatora piotrkowskiego, że byłoby „pożądane, aby ruch agrarny był dławiony w samym zarodku”.

W związku z tymi poleceniami władz centralnych gubernator piotrkowski wydał w marcu 1905 r. ogłoszenie, w którym mówi o oddawaniu pod sąd wojenny winnych agitacji strajkowej wśród służby folwarcznej, o napadach na folwarki i innych przejawach ruchu chłopskiego. Równocześnie gubernator zwrócił się do przewodniczącego sądu okręgowego o wydanie zarządzenia, aby sprawy o udział w ruchu chłopskim były przez sądy rozpatrywane doraźnie, poza wszelką koleją.

Do najbardziej zagrożonych terenów przybyły znaczne siły wojskowe. Do spalskich lasów skierowano kilka szwadronów perejasławskiego pułku dragonów i inne jednostki wojskowe. Między chłopstwem, a rozlokowanymi po wsiach jednostkami wojskowymi dochodziło do częstych starć. Między innymi doszło do zroźnej walki między chłopstwem pod przywództwem sotysa z oddziałem dragonów we wsi Tresta Szlacheńska koło Spały. Chłopi użyli nawet broni palnej raniąc podoficera dowodzącego patrolu, po czym dragoni zmuszeni zostali do wycofania się.

W czerwcu 1905 roku zaczęły się o-

stre represje. Wojsko przeprowadziło po wsi masowe rekwizycje konfiskując broń i aresztując aktywniejszych chłopów. W akcji pacyfikacyjnej władzom carskim pomagali bogacie wiejszy. En-decki „Rozwój” donosił: „względem ruchów robotników (rolnych) — P.K. włościanie-gospodarze zachowywali się wrogo i w niektórych miejscowościach o mało nie doszło do bójki”.

Żadne jednak pacyfikacje, masowe aresztowania, ani inne represje nie zdołały zahamować rozwijającego się ruchu chłopskiego. Dopiero manifest carski zapowiadający spolszczenie szkół i gmin oraz przyznający chłopom pewne ustępstwa gospodarcze sprawiły, że posiadający chłopci, osiągnęwszy swe cele, stracili rewolucyjną prężność. Na placu boju pozostał proletariát wiejski, który w roku 1906 przede wszystkim wystąpił do ostrej walki z obszarnictwem — kapitalistycznym wyżyskiem.

Przebieg wydarzeń ruchu chłopskiego w pierwszym okresie rewolucji wiosną 1905 roku na niewielkim obszarze okręgu łódzkiego, który na odcinku walk chłopskich był raczej terenem drugorzędny, a w którym mimo to mamy do czynienia ze zjawiskiem masowych i zaciętych wystąpień całych wsi, a nieraz chłopów kilku wsi łącznie, z faktami uzbrajania się chłopów i wzbuchających tu i ówdzie starć zbrojnych z wojskami carskimi — wszystko jest dowodem wielkiego napięcia rewolucyjnego na wsi polskiej. Brak kierowniczej partii rewolucyjnej osłabiał ruch, powodował, że miał on charakter przeważnie żywiołowy i nieorganizowany. Mimo to jednak ruch chłopski już na tym pierwszym etapie odgrywał rolę poważnego czynnika rewolucyjnego, godzącego z całą siłą w pozostający feudalizm na wsi i w militarno-feudalny reżim carski.

LOUIS CAZAMIAN w jednym z tomów „Cambridge of English Literature” uskarżał się na rozmiary „Klaryssy” Samuela Richardsona. Bolesnie wspominał owe sześć tomów wypełnionych aż po brzegi opisem szczegółów i szczegółików, ubiorów i wnętrza, błahych gestów i nieważnych czynności. W tej jego żalostnej lamentacji rozbrzmiewa nuta pretensji, pretensji o nadmiar „drobiazgów”. Wyrzut to aż nadto usprawiedliwiony. Dramat Richardsona jest w dużym stopniu dramatem gadulstwa. Tak „Pamela” jak i „Klaryssa” obciąża wcale pokątny bagaż niepotrzebnych realiów. Poności on chyba w znacznej mierze odpowiedzialność za los — los dość szczególny, który powieści te spotkał.

Śmiało mogą one dzisiaj pretendować do miana najbardziej niepopularnych książek, jakie gdziekolwiek i kiedykolwiek zostały napisane. Owszem, wspomina o nich historia XVIII-wiecznej prozy, owszem, figurują one w spisie obowiązkowej lektury studentów anglistyki. Ale iluż dobrowolnych czytelników potrafią sobie zdobyć w dniu dzisiejszym?

Bądźmy szczerzy — niewielu, bardzo niewielu. Ziewa nad nimi prawie każdy. Nawet ów nieszczęsny student filologii angielskiej, który musi przebrnąć przez wszystkie tomy „Pameli” i „Klaryssy”. Stały się one przecież doskonałą martwą pozycją XVIII-wiecznej literatury, rekompensując jakby w ten sposób swą dawną poczytność. Są pomnikiem pisarskiej elokwencji, właśnie pisarskiej, nie oratorskiej, gdyż ich autor nie lubował się w retorycznych figurach i w podejrzanym wartości piękności. Są wymarzoną, niemalże seminaryjnym przykładem prozy „przegadanej”. Richardson mówił za wiele. Za wiele miał do powiedzenia. Nie umiał powstrzymać rwącego potoku słów, który warto sądzić się spod jego pióra. Nie umiał powściągnąć swej miłości do „drobiazgu”, do „niegrajacych rekwizytów”. Jego los stał się przestrogą dla naszych pisarzy. Nie tylko dla nich zresztą. Także i dla krytyków, gdyż postulując określony model prozy ponosimy współodpowiedzialność za sukcesy i fiasko tych, którzy mu zaufali.

Tajemnicą poliszynela jest, iż od pewnego czasu w naszej krytyce panoszą się instynkty stadne. Wystarczy, by któryś z recenzentów wyłuskał nowy „koncept”, a natychmiast podchwycą go inni. Ba, nie trzeba nawet „konceptu”. Dość jest wynaleźć pojęcie, oczywiście pojęcie niesprecyzowane, mętne. Ostatnim krzykiem mody w naszej krytyce jest epika.

Od roku już chyba w artykułach, recenzjach, felietonach powracają niepopulärne dotychczas epitety. Piszę się o „epickim zacięciu” i „epickim rozmachu”, o „epickim spojrzeniu” i „rasowej epice”. Nikt chyba — poza nieliczną grupką łatwowiernych — nie przywiązywał do tych określeń jakiegokolwiek znaczenia. Tłumaczono je sobie mniej więcej tak: „epicki” znaczy „podobny”, a co ma się podobać... w tym miejscu machano ręką, dodając zazwyczaj: „Tego już nawet sam recenzent nie wie”.

Sytuacja nie wygląda jednak aż tak rozpaczalnie, jak zwykli ją przedstawiać zawodowi kpiarze. Niejednokrotnie można rozszyfrować, co miał na myśli ten, który wołał „epika”. Niejednokrotnie rozszyfrować to warto. Często bowiem stanie wówczas przed nami apologia powieściopisarskiego „mięsa”. (z góry uprzedzam, iż nie znaczy to, by każdy krytyk pisać „epika” i wiązać z tym słowem jakieś znaczenie, znane nie tylko jemu, lecz również jego czytelnikom, był tym samym wyznawcą teorii „mięsa”). Jesteśmy więc jakby na balu kostiumowym. Maski kryje twarze naszych dobrych znajomych. Paradują oni w przebraniu. Postulat prozy „mięsistej” przybrał inne, wdzienicniejsze, bardziej dostojne imię. Onieśmiela ono wszystkich. Brzmi — postulat epiki.

Kilka lat temu jeden z naszych pisarzy zachwycał się beletrystycznym „mięsem”. Strofował swych kolegów po piórze za — wybaczenie tej metafory trącającej — „kośćciastość” ich prozy. Domagał się szczegółików, i to drobiażdżków „nie funkcjonujących” w dziele. Odsłonił on zasadniczy, najważniejszy sekret apelow o powieściopisarskie „mięso”. Była nim obrona „waty”, tej samej „waty”, w której przerostach skłonny byłbym dopatrywać się jednej z podstawowych przyczyn wielkiej porażki poniesionej przez Samuela Richardsona.

Pisarz opętany przez „demonia szczegółu” wprowadza na karty swoich książek „niegrające rekwizyty”. Przystępuje do „watowania”. Opowiada o barwie serwet, leżącej na stole, o przybrudzonych sadzą rondlach i rozchylonych płatkach nasturcji, tak jakby uwiłdł go urok sztuki opowiadania, jakby pragnął mówić za wszelką cenę, o wszystkim, byleby tylko mówić. Zajmuje się rzeczami, które nie zaważą na przebiegu intrygi. (Jeśli jego dzieła w ogóle ją posiadają) i nie staną się katalizatorem składających się na nią wypadków, które nie zdradzają tajemnic serca bohaterów, choćby nawet w sposób najchytrzejszemu zakamuflowany z pozoru niewidoczny, i nie będą „odskocznią”, pretekstem do spojrzenia na psychiczne perypetie postaci, które — na koniec — stanowią prozatorski detal odartw z jakiegokolwiek metaforycznego sensu, obcy jakiegokolwiek przenośni.

Miałem kiedyś przyjaciela, który każdemu fragmentowi prozy przypisywał znaczenie „dosłowne”. Był to człowiek nieszczęśliwy. Nie rozumiał wielu po-

LECH BUDRECKI

„WATA” CZYLI O TOLERANCJI

wieści i wielu opowiadań. Ich lektura nie przysparzała mu najmniejszej satysfakcji. Meczyl go Proust i nużył Thomas Mann. W kręgu swych znajomych sygnał jako człowiek wspaniale „gluchych”, całkowicie odporny na działanie pisarstwa. Krążyły o nim dziesiątki anegdot, których pointą była literacka niemuzikalność mego przyjaciela. Śmiałem się z nich do rozpuku. Dzisiaj nie potrafiłbym chyba bawić się jego kosztem. Zasluguje on raczej na litość niż na drwinę! Przecież pojmował prozę na przekór potocznemu jej rozumieniu.

Czytając opowiadania, powieści, reportaże, nieraz łapiemy siebie na gorącym uczynku dziwacznej — zdawałoby się — operacji intelektualnej. Ni stąd ni zowąd przypisujemy pewnym fragmentom sens szerszy aniżeli „dosłowny”. Rozumiemy je więc nieco inaczej, niż przywykliśmy rozumieć rozdziały traktatu naukowego lub opisy fizycznych eksperymentów.

Oto leży przed nami „Pani Bovary”! Na pierwszy rzut oka można by sądzić, iż znaczenie ostatniej jej zdań równa się sumie „dosłownych” znaczeń poszczególnych fraz. A tymczasem... A

nego” posiadają również sens metaforyczny. Nie każdy szczegół wspiera intrygę, wspomaga konstrukcję psychologii bohaterów, wchodzi w skład przeżośni. Wówczas rodzi się „wata”. Głos tych, którzy jej bronili, nie był wołaniem na pustyni. Przypominał raczej usprawiedliwienie faktów już dokonanych. Nie postulowali oni tego, co dopiero pragnęliby ujrzeć. Ich apostołstwo stało się pochwałą określonego gatunku pisarstwa, żywego, aż nadto żywego w naszej współczesnej prozie. Uzasadniali racje istnienia ukazujących się właśnie książek.

Podobno któryś z polskich pisarzy zacytował jedno ze swych opowiadań „Drobiazg”. Później zmienił tytuł. Tak czy owak został on, zapewne mimowolnie, twórcą formuły, zamykającej w sobie pokątną grupę naszych powieści i opowiadań. Zdradzają one bowiem zgoła niecodzienne upodobanie do „mięsa”, do szczegółu. Gromadzą je z zapalem, rzecz można nawet z egzaltacją, tak jakby przerosł realioł miał być dopiero niezbitym dowodem żyłki powieściopisarskiej, jakby świadczył o tym, że oto mamy przed sobą nie jakieś tam filo-

Artykuł dyskusyjny

równych kłów jama ust ziała czarna głębia. Na czole pstrzyły się płatki różowych plamek” — opowiada M. Jarochowska w „Dziadowskiej miłości”.

„W sali słychać było skrzypienie krzesel i pokaszliwanie. W Warszawie dawała się we znaki doroczna epidemia grypy, a ponadto w drodze na sesję wiele osób przemokło. Dyrektor Snej odczytywał okólnik kuratorium. Morawiecki zapalił papierosa i posłał Agnieszce kartkę wydatą z notosu, na której skreślił: „Dzień dobry. Niech mnie pani podpisać na liście obecności”. Spostrzegł, że przeczytała. W moment później otrzymał odpowiedź”. „W porządku. Zaczynam pozdrowienia”, — czytamy w „Obywatelach” K. Brandysa.

Oto wzorowe przykłady pisarskiej „waty”. Braun, Jarochowska, Brandys mówią o szczegółach i to o takich, które nie zaważą na losach bohaterów i nie wyjawiają ich uczuć. A koń z rzędem należy się temu, kto wskaże na metaforyczny sens tych fragmentów, oczywiście, sens zgodny z potocznym ich rozumieniem. Tropem „Lewanatów”,

nych, które hamowały intrygę, milczą o psychologii, a już napewno wyzbyte były przenośnego znaczenia.

Technologizmi nie powiedli się w naszej literaturze. Został wyszydzony i wysmiany. Śmiech godził jednak przede wszystkim w „powieść produkcyjną”. „Demon drobiazgu” wyszedł cało z tej opresji. Pisarze wyrzekli się technologizmu. Ale nie zrezygnowali z „waty” (co zresztą nie będzie im chyba wliczone między grzechy, gdyż choć proza „mięsista” spowodowała tym razem technologizm, to jednak nie musiała go stale powodować). Rzecz prosta nie na każdej stronie rozpoznamy jej obecność. Natomiast zetknęliśmy się z nią we wszystkich prawie powieściach ostatnich kilku lat. Wszak na palcach można policzyć tych polskich prozaików, którzy oparli się zamiłowaniu do „niegrającego rekwizytu”. J. Szaniawski w „Profesorze Tutcie”, A. Rudnicki w swych opowiadaniach, J. Putrament we „Wrześniu”, Bohdan Czesko w „Krzewach koralowych”, K. Filipowicz w „Profilach moich przyjaciół”. Tu załamuje się głos wyliczającego. Nie tyle ze wzruszenia, ile ze względu na brak nazwisk, brak tytułów, na które chciałby się powołać. Może dorzuci jeszcze jedno nazwisko, jeszcze jeden tytuł... Ale w tym miejscu utknę już na dobre. W ubiegłym pięcioleciu nazbyt często bowiem traktowano „watę” jako niezbędny, konieczny składnik realizmu.

Rodowód sympatii do nieważnych trzecio- i czwartorzędnych szczegółów nie jest aż tak bardzo skomplikowany, jak może się wydawać. Siega on potrzeby opowiadania, opowiadania o wszystkim. Pisarz pragnie zdobyć się na pełny obraz życia swych bohaterów, na doskonałe, wyczerpujące sprawozdanie z ich poczyną, na idealnie dokładny opis sytuacji. Pragnienia te pozostają jednak tylko pragnieniami. Nigdy nie doczekają się wcielenia w życie. Proza zawsze wymaga selekcji. Można jedynie zasygnalizować marzenia o wielkiej opowieści, która skrzętnie notowałaby każdy grymas postaci, każdą ich rozmowę, każdy szczegół pejzażu. Można jedynie pozostawić ślad tęsknoty za wyeliminowaniem miejsc „niedookreślonych”. Śladem tym — jak mi się wydaje — jest „wata”. W tym miejscu czytelnik spodziewa się zapewne dłuższego wywodu, który zmierzałby ku wnioskowi, że „wata” to realizm, że każdy spośród wielkich realistów nawiądył jej w sposób oczywisty i niepomawiany. Jeśli ktoś rzeczywiście tak sądził, dozna oczarowania. Formuła na którą czekał, której — być może — domyślał się już rzucając okiem na pierwsze słowa artykułu, nie pojawia się tutaj, choć leży w obyczajach naszych krytyków zamykać swe rozważania sentencją takiego właśnie rodzaju. Niestety, mimo najlepszej woli, musimy sprzeniewierzyć się tej zasadzie „dobrego tonu”. „Wata” bowiem nie równa się irrealizmowi, nie wyklucza realizmu.

Defoe nie znosił „watowania” powieści. Stendhal również nie lubił tego zabiegu. W „Czerwonym i czarnym” wołał: „Ale mimo iż zamierzam przez dwieście stron mówić o prowincji, nie posunę się do tego okrucieństwa, by kazać wam słuchać mdłych i rozwlekłych prowincjonalnych rozmów”. Obaj byli wielkimi realistami. Balzac nie cofał się przed „nie funkcjonującymi” szczegółami. Nie obawiał się go ani Dickens, ani Thackeray. A nie powiemy przecież o nich, że wdzygali się przed prawdą, że kłamali los ludzki w burżuazyjnym społeczeństwie. Można więc widzieć rzeczywiste proporcje świata, tak uciekając się do opisu błahych, miłych „rekwizytów”, jak i milcząc o nich. Przypadek Samuela Richardsona jest przecież przypadkiem krańcowym. Pisarz dał nazbyt wielki upust swym ciągom do prozy „dokreślonej”. Dlatego tak szybko spływały karty „Klaryssy”. Nie grozi to ani „Klubowi Piskwicka” ani „Kuzynowi Poms”. Stać się natomiast ostrzeżeniem wobec tych naszych prozaików, — a jest ich sporo — którzy w pogoni za rozkoszą opowiadania o „nie funkcjonujących” bladościach zbliżają się ku granicy wyznaczanej przez Balzaka i Dickensa. Po przekroczeniu jej zaś „niegrające rekwizyty” zabija wielką literaturę.

Realizm jest pojęciem pojemnym, mieści w sobie wiele konwencji i jeszcze więcej stylów, tak nieraz niepodobnych do siebie, jak niepodobny jest wolterowski „Kandyd” do szołochowskiego „Cichego Domu”. Dlatego realista może być zarówno pisarz ceniący „watę”, jeśli nie przemieni się ona w nadmiar, w zalew szczegółów, jak i ten, który czuje dla niej nieprzezwyciężony wstręt. Ani jeden, ani drugi nie zdradzi przez to obowiązków prozaika naszej epoki. Ich sprawa będzie sprawą tych prozatorskich poetyk, które żyją z realizmem w doskonałej zgodzie. Opowiadam się tu za jedną z nich. Za tą, która ruguje „demon drobiazgu”. Zmartwiłbym się jednak szczerze, gdyby odąd zaczęły powstawać jedynie powieści po defoe'owsku zwężone, gdyby potępiano literaturę „mięsistą”, żądając prozy świadomie stroniącej od „dookreślania”. Wydaje mi się bowiem, że nie ma rzeczy gorszej niż jednostajność, niż dyktatura jednej poetyki — od której odstępstwa zdarzają się bardzo rzadko — niż praktyczne zniesienie zasady tolerancji wobec różnych konwencji pisarskich socjalistycznego realizmu.

LECH BUDRECKI

ŁÓDŹ I ILLUSTACJA

3

ZYGMUNT FIJAS

Do rzeczulki

Rzeczulko pod młynami, w której piekarze jeszcze dziś myją deski, ongiś dla nas wspaniałe jak lodzie Argonautów, rzeczulko garbarzy, kiskarzy i praczek, wodo odmieńająca się jak życie: modra wśród wiosennej leśszczyzny, cynkowa pod wyblakłą kopułą jesieni, rycząca jak Niagara w czasie gniewu deszczu, pary i gromów, niema jak kanały Holandii, wyciekasz z wykopów beskidzkich jak Wisła w tysiącu dzwoniących kociołków, marniejesz w bateriach turbin i powracasz do nas stokroć piękniejsza: w triumfie elektrycznych żubrowni, w śpiewie radiowzłów, w wesołym parkaniu elektrody spawacza, co stapia belki nowych prześel płomykami iskrzących się acetylenów.

JERZY FELIKSIK

„Wyznanie”

W dni, których cierpkość znajdę w dzikich jabłkach,
W dni, które w blaskach nie chciały mi przebiec,
Wpatrzony w siebie, unikałem światła
I byłem jak pień przysypany śniegiem.

Do dziś przetrwiała miłość niepotrzebna,
Lecz już nie zwęży mi boleścią żreń;
Już umiem cenić czerstwą kragość chleba
I widzę piękno pośród lun odlewni.

Jakże powoli jednak burza milkła.
Gwiazdy leż z oczu nie wypała blaskiem.
Więc się uczyłem długo skarg unikać,
Nim odnalazłem w trudzie słowa ważkie.

Dziś umiem trwożyć się o los człowieka;
O to, co ręka wznosi nad mą głowę,
Czy świeży owoc, czy krew na bagnietach,
O to, czy w pieśni dobre każde słowo.

tymczasem okazuje się, że nie. Zakonczenie flaubertowskiego romansu prócz sensu „dosłownego” posiada również sens odmienną natury, sens metaforyczny. A właściwie — cały szereg alternatywnych sensów, zazwyczaj niezbyt daleko odbiegających od siebie. Zawsze dają się one zamknąć w określonych granicach. Jeśli ktoś, interpretując dzieło, przekroczy je, natychmiast obwołamy jego wywody „naciągany” i „bliskimi absurdem”. Jakże bowiem nazwać inaczej bunt przeciwko poetycznemu rozumieniu przenośnego sensu tych lub innych dzieł, zwłaszcza wówczas, gdy buntiem być on nie chce, gdy buntownictwo swą ukrywa, choć wyrasta z niej ponad wszelką wątpliwość. Przecież potoczne rozumienie zakreśliło granice alternatywnych znaczeń. Za jego to sprawą niekiedy gotowi jesteśmy uwierzyć słowom powieściowego bohatera, aczkolwiek nie potwierdzi ich obraz, a poza blahym gestem postaci, poza skrzywieniem warg i uniesieniem brwi łatwo nam dopatrzeć się jej psychicznych wzruszeń. Za jego to sprawą wielokrotnie zbędny, na pierwszy rzut oka, „rekwizyt” — dialog czy opis pejzażu — tworzy aurę dokoła rzeczy opowiadanych, a więc przemienia się w swego rodzaju autorski komentarz o wydarzeniach i ludziach.

Znaczenie przenośne nie towarzyszy każdej powieści i każdej noweli, a przynajmniej nie towarzyszy wszystkim ich rozdziałom. (Chwytamy je semantyczną intuicją, która nie jest ani najlepszym, ani najpewniejszym środkiem poznania. Naszych badaczy literatury bowiem nie wruszyła — jak dotychczas — sprawa określenia empirycznych cech tych utworów, które oprócz sensu „dosłow-

zoficzne powiastki, nie jakieś przebranie w belestryczny kostium pamflety czy rozprawy, ale same, pocziwe romanse. Jednym słowem więc — ostatnie pięciolecie upłynęło pod znakiem „waty”.

„Na tle jasnego nieba stał człowiek poruszający ręką. Dłoń jego zataczała małe kółka, to znów przesuwając się wolno w lewo, to wreszcie całe ramię opuszczał powoli na dół. Wyglądał jak głuchoniemy, który mówi za pomocą gestów, albo jak dyrygent wielkiej orkiestry. Czarna jego sylwetka w zasmolonym kombinezonie przesłaniała rażąco słońce. Poniżej kilku robotników przyglądało się stojąc w rozkroku między szynami i przesłaniając dłońmi oczy. W górze przetaczał się wolno dźwig, wyjął elektrycznymi motorami. Ramię dźwigu obracało się stosownie do gestów człowieka. Zataczało łuk i czworokątna, stalowa blacha, zawieszona na stalówkach i potężnym haku, opadła kilka metrów w dół. Człowiek stojący na rusztowaniu opuszczał ciagle rękę, a wraz z nią opuszczała się ruda od rdzy płyta. Na betonowej pochylni, oparte żelazne stąple niby wielka, z lekka wklęsła podłoga, rozpościerało się dno statku. Z obu stron jak potężne grzebienie sterzały wręgi. Kadłub otaczały rusztowania z desek, na których kręcił się ludzie. Tyłu ludzi czekało na dnie” pisał A. Braun w „Lewanatach”.

„Tymczasem wysokiego, kościstego żebraka zmorzył sen. Rozwalił długie ramiona na blacie stołu i wtuliwszy czaszke między łokcie a poprzewracane szklanki chrapał donośnie a chanokliwie. Zarośnięta szczęka spadała mu w dół, za balustradką poprzedniałymi nie-

„Dziadowskiej miłości”, „Obywateli” pójda pisarze inni. Sympatia dla „waty” stanie się uczuciem powszechnym. Wtargnie do „Waworowego domu”. W Macha i do „Jadwigi” T. Konwickiego. Straszyc pocnie w „Ostatnich ognich” i „Jeszcze Polska...” St. Zielińskiego. Zakrada się do opowiadań. M. Promińskiego z lat 1950—1953. Święci swe triumfy w „Astronautach”, „Sezanie”, „Obłoku Magellana” St. Lema, nie mówię już o naszej beletrystyce z okresu nieco wcześniejszego, kiedy to szalala ona ponad wszelką miarę. Jej to przecieże winniśmy składać „dziękczynienia” za tę plagę, nad którą jakieś cztery lata temu każdy szanujący się krytyk rozdzierał szaty. Miłość do „nie funkcjonującego” szczegółu (pospolu z szeregiem innych okoliczności) zrodziła wówczas technologizm. Święty gniew, w który wprawił on recenzentów, nie był trybutem spłacanym „dobrym manierem”. Obracał się przeciw wydarzeniom jak najbardziej rzeczywistym.

„Technologiczna” zaraza szerzyła się w naszej prozie. Powieści ugięły się pod ciężarem długich opisów czynności produkcyjnych. Były naszpikowane nieznanymi dla laika terminami. Rozumienie dobre tych, którzy chcą przeczytać „Kampania znaczy walka” M. Kowalewskiego, studiowali wprawdzie podczelniczki cukiernictwa. Inaczej nie rozeznaliby się w tej powieści. Nic dziwnego... „Wata” prowokuje niekiedy takie z lekka paradoksalne sytuacje. A technologizm był jednym z jej objawów. Powiedzmy sobie — objawem szczególnie rażącym. Sprowadził się on bowiem do „wmontowywania” w powieść wyuczających „detali” — opisów urządzeń i czynności produkcyj-

Na ścieżkach młodości

STOTNIE, serce się kraje na widok kudłatego młokosa, z czupryną Papuasa, pijącego i zachowującego się jak niewinny barbarzyńca. Bo to, że w nosie dębnie przy stole w Domu Wczasowym podczas obiadu, że obgryza kość, trzymając ją w brudnych łapach, że smarka, przytykając palcem jedną dziurkę w nosie — to są drobiazgi. Jakich takich manier można go nauczyć chociażby przez polecanie jego młokosowej ambicji, że „żadna panna nie popatrzy na takiego kawalera”.

Gożej już, jeżeli jego słownictwo załatuje ryzostokiem, kanałem i skatologią. Robi wtedy wrażenie, że jest parazyty i że wszystko w nim parazyty, brudne i cuchnące ustępem.

Jeszcze gorzej, gdy zamierzając stać się junakiem, zapagnie zaimponować swoim kolegom nożem, kuflem, „bokserskim” lub chociażby odlamaną nogą od krzesła, albo gdy w przystępie tak zwanej przez Niemców „Zerstörungswut”, co by można przetłumaczyć niezręcznie na „pasję niszczenia”, zaczyna odcinać parcie pasy od ramy okiennej w wagonie kolejowym, rozbijając muszle w ustępach w Domu Młodego Górnika, zwalając drogowskazy, tłuc okna, obrzucać kamieniami przejeżdżające samochody i tak dalej i tak dalej.

Starsi patrzą i powtarzają smętnie, że to zalew barbarzyństwa. Nie umieją jednak powiedzieć, skąd się ono wzięło. Na karb wojny nie można go składać, boć przecież w ciągu dziesięciu lat barbarzyństwo mogło już być wytrzebiłone. Są przecież rodzice, szkoła, Związek Młodzieży Polskiej, opinia i na szarym końcu znieprawdzone przez chuligana milicjant. Gdzieś tkwi przyczyna głęboko zatajona i trudno ją odszukać. Może w tych przepisach urzędowych, każących traktować takiego chłopca z werbunku w kopalni i fabryce, jak traktuje się numer porządkowy. A może doszukać by się jej można w tym nagłym, nieoczekiwanym awansie społecznym, gdy taki chłopak z zapadłej wsi zniecał przedzierzga się w kawalera zarabiającego surowo w kopalni lub fabryce. A może w braku dostatecznej opieki moralnej ze strony tych, którzy są odpowiedzialni za ową młodzież. Trudno ustalić przyczynę. Wydawało by się, że w sumie składają się na nią wszystkie owe niedomagania.

Jeden z wybitnych działaczy społecznych w Ministerstwie Górnictwa w rozmowie ze mną na ów temat okazał się optymistą. Orzekł, że owszem, nie można zaprzeczyć, wśród jego młodzieży zdarzają się bardzo często chuligańskie wybryki, jest to jednak znikomy procent w stosunku do życia reszty młodzieży górniczej. Byłem mu wdzięczny za to wątpliwe pociechy i chociaż nie bardzo wierzyłem w jego prawie ministerialne słowo, została leciutka nadzieja, że może wszyscy przesadzamy w tym malowaniu diabła na czarno.

Utwierdziło mnie w tej anemicznej wierze opowiadanie jednego z walbrzyskich inżynierów górniczych. Nigdy nie czytał Makarenki czy innych nie mniej cennych przedmakarenowych dzieł polskich pedagogów i nigdy się nie zastanawiał, jakim sposobem pozyskać sobie chuligańską młodzież górniczą. A jednak pozyskał, przynajmniej największego herszta walbrzyskich chuliganów — w sposób ogromnie prosty. Opowiadał mi więc, jak pewnego razu jego kopalni zniecał zagrozić zalew. Przez trzy dni bronił jej z czterema śmiałkami, pilnując czterech pomp elektrycznych na piątym poziomie. W pewnym momencie nagle dwie pompy „nawaliły”. Z jednej woda wyrwała uszczelkę, w drugiej w motorze nastąpiło krótkie spiekanie. Kopalni, inżynierowi i jego czterem towarzyszom groziła zagłada, gdyż dwie pompy nie potrafiły obronić kopalni. Domagał się, by zjechała drużyna sąsiadnim szybem i zbudowała na przekopie prowizoryczną tamę z desek, gliny i prasowanej słomy. Tama wstrzyma napływ wody, woda spłęczy się w przekopie, a tymczasem inżynier ze swymi ludźmi zdoła naprawić obie pompy. Cóż, kiedy nikt

z górników nie chciał zjechać na dół. Górnik bowiem nie boi się pożaru w kopalni. Przeciwnie, walczy z nim zaciekle. Boi się jednak wody. I wtedy zgłosił się — gdy chodziło już o minuty — ów największy chuligan i rzemieślnik, patrząc z bólem, łączy z nożem w kieszeni, złodziej, herszt zbiorów, noszący się z zamiarem opuszczenia kopalni. Porwał za sobą takich samych dwóch kamratów, jemu podobnych, i w towarzystwie starego sztygara zjechali na dół i tamę postavili. Zdawali sobie sprawę, że narażają się na śmierć. I dzięki bohaterstwu, dosłownie bohaterstwu tamtych czterech zuchwałców, mozołających się z budową tamy w ryczącej wodzie, przywiązanych powrozami do stępli, by ich nie porwała — inżynier zdołał naprawić obie pompy i kopalnię uratować.

— Czemu poszedłeś budować tamę? — zapytał inżynier tamtego herszta chuliganów, po skończonej akcji. — Czy się nie bałeś?

— Nie bałem się! — rzekł z łgarską przechwałką. — Ja to zrobiłem dlatego, bo pan inżynier był narażony na niebezpieczeństwo!

Inżynier opowiadał mi o tym zdarzeniu w taki sam sposób, w jaki zwykł opowiadać, ile ton węgla wyfodrowała jego załoga w ubiegłym miesiącu. Dodał tylko, że w przeddzień katastrofy spotkał go na przekopie, wdał się z nim w osobliwą rozmowę, a odchodząc przygarnął go prawie odruchowo ramieniem do siebie, pogłaskał tylko raz dłonią po głowie i mruknął: — Ale z ciebie głupek!...

— Być może — zakończył — że powodem jego szaleńczej decyzji było owo przygarnięcie go ramieniem i pogłaskanie po głowie. Niech sobie już nad tym łamią głowy psychologowie. Ja tylko tyle wiem, że ów chłopiec pozostał w moim oddziale i że stał się jednym z najlepszych brygadistów młodzieżowych. No i że za mną przepada. Ja go też lubię... — dodał jeszcze.

Długo z nim rozmawiałem w młodzieżowej świetlicy. Za dziwną sprawą „wyduśli” od swych władz górniczych jakiś tam fundusz, zakupił akordeony i utworzył ze swych chłopców orkiestrę młodzieżową. Kapelmistrzem mianował starego górnika, byłego członka orkiestry górniczej z czasów niemieckich. A że sam jest muzykalny, przeto często bierze udział w ich próbach. Za jego sprawą zmieniły się także Domy Młodego Górnika. Widziałem je i podziwiałem.

— Kto tu mieszka? — pytałem się, wędrując od pokoju do pokoju. — Czy dziewczyny?

Roześmiał się, szczerze ubawiony moim pytaniem.

— Moje łebonie i gidy zasmolone! — rzekł w tym swoim typowo górniczym, szorstkim języku.

Dziwiłem się zaś dlatego, że łóżka były zaślane „na kant”, w oknach firanki i doniczki z kwiatami, a na ścianach pstrzyły się nie świetlicowe słogany — inżynier był ich wrogiem — lecz obrazy, takie proste oleodruki, wydane już w Polsce lub wyjęte z francuskich albumów malarstwa, zaramkowane i zawieszane.

— Niech taki chłopiec czuje się w swym pokoju jak w domu. Brakuje mu go bowiem...

Szukaliśmy obaj przyczyn chuligaństwa. Inżynier między innymi znalazł jeszcze jedną. Oto ubolewał, że nie może przekonać swych władz górniczych, by na kierowników Domów Młodego Górnika nie przeznaczano ludzi nie nadających się już do żadnej innej pracy na kopalni i w kopalni, lecz by wysłano ludzi-pedagogów.

— Taki kierownik Domu Młodego Górnika sam nieraz pije wódkę z powierzoną sobie młodzieżą, patrzy przez palce na wybryki, nie posiada żadnego autorytetu, a jeżeli chce go sobie zdobyć, stosuje kaprański ton, przekleństwa, groźby i wyzwiska.

— A czemu nie macie kierowników o wykształceniu pedagogicznym? Inżynier uśmiechnął się gorzko.

— Czy pójdziesz na ową posadę ktoś z wykształceniem lub choćby z minimalnymi kwalifikacjami, jeżeli dzi-

siaj taki kierownik jest najmarniej opłacany.

— Czyli chodzi tutaj o podwyżkę pensji kierownika?

— Właśnie o to chodzi!...

Innymi słowy — błędne koło. Dla oszczędności mianuje się kierownikami Domów Młodego Górnika czy Robotnika ludzi jakby wycofanych już z obiegu, inwalidów, pijaków, mających do wyboru albo mizerną emeryturę, albo jaką taką synekurę w Domu Młodego Górnika. Pożywi się bowiem we wspólnej kuchni, nachlepcze się wódki fundowanej przez swych „podopiecznych”, zarobi coś nie coś, nie urobi się i upaja się „władzą”, aczkolwiek to władza Boże się pożał!...

Nie wynika z tej ponurej refleksji, że wszyscy kierownicy Domów Młodego Górnika należą do tej kategorii „wyaranżowanych” ludzi, jak to określił mój przyjaciel-inżynier. Spotkałem w jednym z miast górnośląskich takiego kierownika, emerytowanego sztygara, który sobie świetnie poczynił z powierzoną sobie młodzieżą. Używał języka szorstkiego, młodzież zaś za nim przepadała. Może dlatego, że przypominał pociotką sienkiewiczowskiego Zagłoby.

Jego młodzież wcale nie była podobna do trus. Przeciwnie, straszne to były wybiokna, lecz jakieś ogromnie sympatyczne. Chłopcy zaprosili mnie na obiad. I znów niepomniemnie się zdziwiłem. Siedział w ich gronie dyrektor podobny do świętego Franciszka z Asyżu, a więc w sam raz nadający się, by mu „na głowie strugać kółki”. Tymczasem młodzież nie! Nie ciskała kluskami, nie wylewała zupy na sąsiadów, nie czubiła się, tylko jadła grzecznie i przykładnie, bez siorbania, bez młaskania, słowem jakieś wielkopańskie maminsynki! A między chłopcami krążył nasz górniczy Zagłoba, łgarz rozkoszny, kpiarz nad kpiarze, sztygar-wychowawca, i opowiadał facecje, że boki zrywać. Dziewice by wprawdzie mdlały, gdyby go słuchały, chłopaki jednak buczały jak szarżujące trąby strażackie i wciąż imitowały mamin-synków, trochę kudłate i trochę rozba-sałykowane, lecz strasznie kochane.

Kierownik ów opowiadał mi, jak to okiełznał swą młodzież spragnioną erotycznych przygód. Dawniej — klarował mi — chłopcy i dziewczyny z pobliskiego Domu Młodego Robotnika „kramarzyli” po bramach. Poszedł przeto do ich kierowniczk i zaproponował, by raz w tygodniu odbyło się spotkanie jej dziewczycy z jego chłopcami na tak zwanej „tańcówce”.

JERZY MILLER

Rówieśnik o „Pokoleniu”

FILM Bohdana Czeski i Andrzeja Wojdy oglądałem nie tylko jako widz kinowy, lecz także jako rówieśnik pokolenia, rocznik 1924, zamieszkały w czasie wojny w Warszawie. Ten drugi aspekt wpłynął na subiektywność odczucia filmu w sensie zarówno dodatnim, jak i ujemnym, i przeszkadza przy wymiarze recenzentki sprawiedliwości.

Dlatego dodatnim, ponieważ autorzy filmu wobec mojej osoby nie potrzebują uciekać się do pomocy komentarza, większość bowiem wydarzeń rozpatruję pod kątem własnych doświadczeń i przeżyć zruchojących na tło wojennej Warszawy. Jednakże stwierdzenie zawarte w pierwszym zdaniu, że nie tylko możliwość aplauzu, ale i gwałtownych sprzeciwów, których rodzicami bywa uleżały i już uciwiony stosunek do scenarii okupacyjnej Warszawy i do tzw. życiowej prawdy obrazu.

Nie jestem przekonany, czy scenaria np. „Procesu przeciwko miastu” odpowiada widokowi Neapolu, a „Cudu w Mediolanie” obrazem przedmieścia Mediolanu. Raczej wydaje mi się, że przy spojrzeniu na tło tych filmów, gdyby je traktować dosłownie jako filmowy, fotograficzny dokument, widz włoski znalazłby się w kłopotliwej sytuacji. Lecz ani w pierwszym, ani też w drugim filmie autorzy nie walczyli o bezwzględność, niekonwencjonalną wierność obrazu. Niezaprzeczalną siłą ich dzieł filmowych było nawet, jak sądzę, odejście od wierności scenarii po to, aby oskarżenie zawarte w filmach mogło trwać jak najdłużej w czasie i przestrzeni, albowiem wypadki rozwijające się na taśmie filmowej są na wskroś teraźniejsze, sprawdzone i doświadczane codziennie. Nie położy ich artystycznej wymowy ahistoriczność „Procesu przeciwko miastu” ani też groteskowość „Cudu w Mediolanie”.

Natomiast przy ocenie „Pokolenia”, ponieważ filmowany jest zamknięty rozdział historii, stopień nasycenia filmu dokumentarnym pietyzmem dla wojennej Warszawy musi odegrać dość istotną rolę. Konstatając trafność koncepcji autorów filmu, aby dzieło pokolenia odczytało nie tylko poprzez sceny wielkich wydarzeń, jak powstanie w Getto, zruśnienie na Woli i Szczęśliwiczach, lecz także przez pryzmat doświadczeń jednostkowych i co-

TADEUSZ GIGGIER

Powrót

W oknach wagonu noc śpi ciężka. Pociąg to dyszy tak, czy lato żegnane, do jeziora ścieżka, a nad nią woń skoszonych kwiatów?

Niesyty wracam brzoź pod niebem i pół, widzianych — niewidzianych, dróg, których nie zdołałem przebiec, i wschodów słońca, tych przespanych...

Wsi głodny wracam, lecz już we mnie rosnącym echem mówi miasto — oto ognisko, co przegasło, iskrami wstaje z nocy ciemnej.

Myśl, szary wyprzedzając ranek, rysuje znany kształt obrazu: domy w ulicę powieskane, horyzont wyciosany z głazu

i bruk kamienny — czuły świadek dzieciństwa, pierwszy serca pieśni, kolebka rodu: tutaj dziadek wyrósł, i w dłoń fachu ujął cieśli;

tu ojciec, noc skracając nieraz książką, doczekał się awansu i w gabinetach, przez lat szereg, obliczał zyski mecenasów;

tu często obaj, choć ich różnił zawód — jednakie życie wiodli, bo tkwiąc w kieracie obecnej służby — obcy się czuli, niepotrzebni.

Kamienny bruk ulicy łódzkiej... Gdy stanę na nim — ptak z nad ścieżek stopa się wzdrygnie, ale wkrótce pewności dawnej znów nabierze,

bo każda płyta tu znajoma, a płoty, które okaleczył czas — i zrudziały tynk na domach przeszłość przywodzi, choć jej przeczą.

— Wiecie, pieruna, o mało baba nie zemdliała, jak zech to jej powodził. Załamała ręce i wraziła, że chce zrobić Sodoma, Gomora. A jo nic, pieruna, tylko przy swoim. Padom jej, pieruna, że chłopiec też czuje wola boża, a jej dziewczuchy też, no ni? Chce mieć swoją libsta, swoją dziubeczka, a że mu zabronimy, przeto wykorzystuje bramy kamienic po nocach. No i zgodziła się. Terozki, pieruna, to se chłopcy z dziewczuchami potańczą w świetlicy, a jo tylko uważa, żeby nie było grzechu. No i wszystko w porządku...

— Czytaliście Makarenkę? — zapytałem go wtedy.

— Ni! Jo wychował swoich ośmiu dzieciak, to umia z takimi bajkami, jak moi syny w Domu Górnika i w szkole górniczej, postępować. To nie jest żodno sztuka, ni?... tylko trzeba mieć trochę wyrozumiałości i tego trochę serca... No, ni?...

Przypomniałem tę rozmowę walbrzyskiemu inżynierowi. Uśmiechnął się i rzekł:

— Wie pan co? Zdaje mi się, że ów sztygar najsmardziej rozwiązał zagadnienie chuligaństwa wśród młodzieży. Wielu obwinia w tym wypadku jakiegoś mitycznego „wroga ludu”, który krąży po ziemi jak szatan w średniowieczu. Wyobrażają go sobie jak jakiegoś zakonspirowanego łajdaka, który podsuwa młodzieży butelkę wódki,

wpycha do dłoni nóż lub pałkę, namawia na bezceństwa, mami słodkimi i kuszącymi słowami, słowem namawia do grzechu. Wynika stąd, że nie bardzo daleko zaszliśmy od ponurych przesądów średniowiecza. Szatan czynił to samo, kuśił człowieka, towarzyszył mu, siał zło. Ponieważ jednak szatana zdezonizowano i przepędzono do wszystkich diabłów, musiał ktoś zająć jego miejsce i wymyślono „wroga ludu”. Tymczasem ów „wrog ludu” jest mamieniem samego siebie i ośłanianiem własnej winy. Zwalanie winy na niego jest wygodniejsze dla wielu, aniżeli przyznawanie się, że winę ponosimy sami w tym wypadku. Nasz sztygar więc najsmardziej rozwiązał ową sprawę, bez szukania „wroga ludu”. Oto po prostu zrozumiał, że „trzeba mieć trochę wyrozumiałości i trochę serca”. To wszystko. Mnie zaś czasem wydaje się, że nam niedostaje ani tej wyrozumiałości, ani tego serca. No ni? — zakończył gwarowym zwrotem.

Przekonał mnie, że gdyby ta młodzież, nazywana przez nas młodzieżą chuligańską, spotykała się z naszą wyrozumiałością, taką mądrą wyrozumiałością i tą odrobiną serca, chuligaństwo by może od razu nie znikło, lecz bardzo by się zmniejszyło. I wtedy nie byłoby okaleczanej młodości.

GUSTAW MORCINEK

dość się Stachowi kłębowskiemu żmij w myśli mąksymy: „Bellum omnium contra omnes”. I właśnie w stolarzy, z doświadczeń proletariatu, wyrasta prowadzoność tej a nie innej, umotywowanej postawy Stacha, który decyduje się pójść heroiczną drogą walki konspiracyjnej i politycznej w szeregach Gwardii Ludowej.

Uwierzywszy w jego autentyczny przełom, tracimy z wolna rezerwę, angażujemy się w treść filmu, w losy ludzi, którzy po większej części godniej niż my przeżyli okres wielkiej próby. Akcje zbrojne Gwardistów pokazane są nieco chaotycznie. Mam wrażenie, że młodemu reżyserowi po prostu niedostało rzemiosła. Poza jedną tylko postacią Jasia, który przezwycięża strach, przechodzi bolesny dramat zabicia człowieka i sam wrzecie gliny — uczestnictwo innych postaci w akcjach bojowych zatracca się w pamięci z chwilą zapałania światła na sali. Wydaje mi się, że poza brakami rzemiosła w owym nienajlepszym pod względem formalnym zawiązaniu akcji pomocy powstańcom Getta — zabrakło ścisłe wyznaczonych perypetii poszczególnych uczestników. A gęsi, co? Gęsi uratowały wyłącznie Kapitola!

Film, nawet zakładając słuszność moich zarzutów, chwilami jest porwijący. Bardzo odpowiada mi styl gry aktorów, chociaż niektóre role, jak np. matki Stacha, Doroty — były szczególnie trudne, niedorównane przez autorów scenariusza. Sprzeczałbym się o grę Kostka w scenie w bunkrze i o interpretację roli Abrama. Pierwszemu zaskodził nadmiar stylizowanego na Al. Fordzie demonizmu, wzmocnionego tłem podziemnego korytarza i timbrem głosu dudniącego o cementowe sklepienie, natomiast tragiczną rolę Abrama psuje teatralność gestów, łabwy potos, w którym zacięra się ludzka treść ginącego człowieka. Styl gry aktorów również poważnie zawył na dalszym sukcesie „Pokolenia”, polegającym na tym, że film ustrzegł się brzoźnictwa, że miara bohaterstwa nie oślebiała postaciom filmu cech ludzkich i nie zawiesiła nad ich głowami aureoli świętych pańskich Gwardii Ludowej. A zewzwa że stępma brzoźnictwa nie było chyba łatwe. Już bowiem faraonów egipskich na reliefach wyobrażających pochodły wojenne rytowano w nadnaturalnej wielkości.

JERZY MILLER

Czyżby cyprijsy i pinie na Powiślu?

FILM „Pokolenie” spotyka się z wielu zarzutami, ale może najczęściej z zarzutem, że „za wiele w tym rosło włoszczyzny”. Ma to znaczyć, że „Pokolenie” jest przykładem „zapatrzenia się” na neorealizm, film włoski, krytycy o usposobieniu łagodnym tłumaczą to młodzieńczością autorów filmu, krytycy kategoryczni nie widzą żadnych okoliczności łagodzących, mówią bez ogródek o niewolniczym naśladownictwie. A także powierzchownym. I szkodliwym!...

Słowem, znowu powraca ostrzeżenie rzucone na wrześnie naradzie Spatitu „ostrożnie z Włochami!”

Ile jest w tym wszystkim poważnych racji, a ile szukania dziury w całym?

Owszem, należy przyznać, że Wajda i Nalecki i ich operatorzy korzystali z doświadczeń filmu włoskiego. Owszem, w pewnych rzeczach naśladowali Włochów, tak jest! Ale po pierwsze: mieli pełne prawo to robić, a po drugie: nie robili tego wcale w sposób powierzchowny.

A oto dlaczego: Neorealizm film włoski wyrasta z walki ideologicznej i politycznej. Postępowi filmowcy włoscy ukazują w swych filmach sprzeczności ustroju amerykańskiego patronatu, ukazują niesprawiedliwość i nawet beznadziejność życia w systemie podwójnego wyzysku. A więc jest to kinematografia walcząca, kinematografia nasza!

Neorealizm film włoski — to jest zawsze prawdziwe, niefalszowane kino! Każdym kadrem przypomina nam, że film to przecież ciekawa, oryginalna sztuka, posiadająca własną paletę środków wyrazu. A jakże często w ostatnich latach zapominaliśmy o tym na śmierć, oglądając filmy polskie, czeskie, węgierskie i, niestety, nawet radzieckie!...

Film włoski to sztuka walcząca o słusze, bliskie nam sprawy i sztuka jednocześnie tak bardzo atrakcyjna! Sztuka, która coś mówi, czegoś uczy, a jednocześnie potrafi wzruszać i rozśmieszać! Czy to nie wystarczy, żeby mieć szalona ochotę „pójść za Włochami”? Podpatrzeć ich sekrety? Skoro przyznajemy rację przysłowiu przypisanemu z okazji ostatnich polskich filmów: „nie uczą Baltazara, uczą się same” — to przynajmniej szukamy dobrego nauczyciela! Neorealizm film włoski ma na to najwięcej w danej chwili kwalifikacji.

A sekrety? Czy są tam jakie sekrety? Które można podpatrzeć i przenieść do nas?

Nie stanowi chyba sekretu śmiałość włoskich realizatorów, z jaką patrzą na sprawy ludzkie, ciekawość tych spraw? Ani bojowość w stawianiu palących problemów, ani umiejętność obracania się w kręgu sytuacji rzeczywistych, dobrze znanych każdemu widzowi z własnego doświadczenia?

Film włoski prowadzi do uogólnień nie poprzez schemat i nie poprzez stylizację, ale zawsze poprzez obserwację rzeczywistości. Najczęściej w jej bardzo codziennym, zwykłym, można by powiedzieć, banalnym przekroju. Film włoski, nawet kiedy ucieka w krainę fantastyki, to zawsze ma za sobą rzeczy realne, nie traci ich z oczu ani na chwilę.

Film włoski, obserwując życie codzienne, nie obawia się widoku rzeczy brutalnych, rzeczy smutnych, nie obawia się śmierci, cierpienia, zła, brzydoty, nie obawia się śmieśności i małości ludzkiej. A mimo to, jak żaden inny film w latach powojennych, film włoski potrafił sprawić, że serce nasze było mocniej właśnie z podziwu dla człowieka, właśnie z miłości do człowieka!...

Więc jak? Nie ma w filmie włoskim sekretów?

Może jest jeden, rzeczywiście trudny do wykradzenia, do przeniesienia na inny grunt. Ten sekret — to wyjątkowość, zażośći godne bogactwo talentów i zdolności, jakie widzimy u włoskich scenarzystów i reżyserów. Niestety, tego już „nauczyć się”, skopiować nie można!... To się albo ma, albo się tego nie ma. Przy sposobności trzeba powiedzieć, że ekipa „Pokolenia” wykazała w robocie dużo najprzebieższych uzdolnień. I to stwierdzenie wystarczy zupełnie, żeby odeprzeć zarzut, jakoby naśladowanie Włochów nosiło w „Pokoleniu” charakter niewolniczy. Utalentowani ludzie nigdy nie kopiuja innych w sposób niewolniczy.

No dobrze, ale w czym Wajda, Nalecki i ich operatorzy szukają inspiracji u Włochów? Czego się od Włochów uczą?

Tego przede wszystkim, że nie kręci się filmów fabularnych o... zagadnieniach, etapach, problemach (a to „awans społeczny”, a to „przeobrażenia wsi”, a to „historia ZMP”, a to „walka klasowa na odcinku X, Y, Z”), ale że się kręci filmy o ludziach!

Tego, że ludzie żyją wielostronnie, że oprócz miejsca pracy mają dom, rodzinę, że zmierzają i radości mogą być i tu i tam, że sprawy prywatne splatają się ze sprawami ogólnymi w różne węzły i węzłki, które nieraz nie łatwo rozsupłać albo których w ogóle rozsupłać nie można.

Tego, że filmowe opowiadanie — to nie tylko aktor, ale że to jest także scenariusz, szczegół, wymowny rekwizyt. I że także w te rzeczy należy tchnąć jakiegoś życia. Tego, że obraz i słowo, obraz i dźwięk nie koniecznie muszą być pleonazmem, ale że mogą zderzać się ze sobą na zasadzie kontrapunktu.

Wreszcie twórcy „Pokolenia” uczą się od Włochów tej prostej prawdy, że realizm to wcale nie znaczy szarość, nuda, banał...

Podobieństwo w metodzie narracyjnej — tak! Podobieństwo czy tożsamość w spojrzeniu na bohatera filmowego — tak! Ta sama troska o nasycenie „drugiego planu” jakąś własną treścią — tak! Rzecz jasna, że z tego wypływają też jakieś podobieństwa formalne, podobieństwa maniereczne nawet, ale to jest sprawa drugorzędna, która nie powinna przesłaniać zależności i wpływów istotniejszych.

Owszem, może się zdarzyć, i zdarza się to w „Pokoleniu” kilka razy, że hierarchia treści i formy jest zachwiana, że szczegół, to grają zbyt mocno, nawet natrętnie. Parę przykładów: litania śpiewana w chwili, kiedy Jasio Krone odmawia schronienia Żydowi, ślepy sprzedawca obrazów w bramie, kaleka idący zaułkiem po aresztowaniu Doroty. Tutaj i w paru innych miejscach sztywność autorskich zamierzeń wyłaziło z worka i stało się widoczne; pragnienie nasycenia kadru treścią bardzo znaczącą, prawie symboliczną nie zostało skorygowane przez artystyczny umiar.

Nie czynimy jednak z tego wielkich zarzutów młodym autorom. Więcej warto się pośmiać u kogoś, kto szuka, niż żałować poprawności ostrożnych.

Wiele zastrzeżeń budzi u krytyków warszawskie przedmieście Budy, ukazane w „Pokoleniu”. Mówi się, że to jest żywym przeniesione z „Cudu w Mediolanie”. Mówi się, że polski lumpenproletariat tak się nie nosi, że nie non-szalancja i niedbałość w ubiorze, ale przeciwnie: pewna sztywność i elegancja cechowały nawet najbiedniejszych w czasie okupacji!... Słowem, że tak nie było, że Warszawa w „Pokoleniu” jest wymyślona, albo gorzej: że nie ma jej wcale!

Owszem, można zgodzić się na to, że tej znanej Warszawy jest w „Pokoleniu” mało. Widz nie znajduje topograficznych punktów zaczepienia, nie znajduje miejsc, które by łatwo rozpoznał. Z drugiej jednak strony należy powiedzieć, że bohaterowie „Pokolenia” z tą „znaną” Warszawą mało mieli wspólnego i że ulice, place, po których chodzili, nie miały wyrazu architektonicznego, były one zwyczajnie i po prostu brzydkie, kosmopolitycznie brzydkie. A co się tyczy przedmieścia Budy, to proszę tam zrobić wycieczkę jeszcze dziś, dobrze? Później porozmawiamy, czy to Mediolan... Nie, zapewniam państwa, żaden z twórców „Pokolenia” nie chciał

na Powiślu sadzić cyprijsów! Dojrzeć je w tym filmie mógł tylko ten, kto od cyprijsów nie potrafi odróżnić zwykłych nadwiślańskich topoli.

Z okazji rozważań na temat „Pokolenia” a filmy włoskie pozwolmy sobie na jeszcze jedną uwagę.

W latach największego rozkwitu neorealizmu kinematografii włoskiej, kiedy to powstały pierwsze filmy Rossellini, de Santisa, Viscontiego, Castellaniego, de Sici, filmy najcieńsze politycznie i najlepsze artystycznie — artyści włoscy pracowali w klimacie nicyzm nieskrępowanej swobody. Ich pomysłów nie filtrowało żadne sito kolegialnych ciał doradczych, gorących twórców nie mierzyl żaden termometr! Nie było żadnej prewencyjnej cenzury, a nawet produkcję chętnie dawali pieniądze, nie stawiając żadnych warunków. Te złote czasy, niestety, skończyły się: rząd chadecki i koła klerykalne z jednej strony, potencjał filmu amerykańskiego z drugiej — czynią ostatnio kolosalne trudności postępowi twórcom włoskim, biją postępową produkcję po kieszeni, odmawiają wielu filmom wiz eksportowych, inspirowa napaści w prasie i w radio itp.

I teraz neorealizm film włoski walczy na dwa i trzy fronty. Walczy o prawdę na ekranie, walczy o prawo do życia, walczy z cenzurą, z mieszczańską opinią... I w walce z urzędnikami, reprezentującymi cały ten wrogi obóz, często przegrywa. Podobnie zresztą często przegrywa postępowy film francuski. Siła złego na jednego.

Piszę o tym dlatego, żeby podkreślić (czyżby to zresztą od dawna), jak ważną rzeczą jest dla twórcy zaufanie, udzielenie mu kredytu, dopóki nie skończy roboty. Jak ważną rzeczą jest swoboda w poszukiwaniu środków wyrazu, brak w tych sprawach nacisku ze strony urzędników resortu sprawującego patronat nad daną sztuką.

Otóż w wypadku „Pokolenia” może dzięki temu, że opiekę nad filmem sprawował reżyser Ford, a scenarzystą był Czeszko, ekipie dano rzeczywiście bardzo, dużo swobody. Ekipa mogła szukać i szukając — znajdować rzeczy najlepsze. Wiele rzeczy zmieniano i poprawiano do samego końca. Rezultat? W naszej polskiej skali bardzo dobry: powstał film interesujący, odważny, a co najważniejsze, z dużym ładunkiem wzruszenia. Jeden z niewielu polskich filmów, którego bohaterów widz długo będzie pamiętał.

To udane doświadczenie, w którym nie najmniejszą rolę spełniło zaufanie okazane ekipie i opiekunowi — z pewnością warto przenieść na inne zespoły, na innych realizatorów, warto z tej „kredytowej operacji” uczynić precedens, nawet stałą metodę! Oplaci się!

ANTONI BOHDZIEWICZ

KAZIMIERZ KUC

Urywki z kroniki „Pokolenia”

3 MARCA 1954.

Próby czytane z głównymi wykonawcami. Dyskusja wokół scenariusza, później nad poszczególnymi postaciami. Dyskutują tylko aktorzy. Reżyserzy notują.

5 MARCA.

Tadeusz Łomnicki tworzy postać Stacha z niczego.

10 MARCA.

Codziennie po zajęciach doskonalimy scenopis. Każdą scenę omawia się od nowa, w każdym wyderzeniu szukamy Stacha. Klirują się wątki, rysują wyraźniej postacie. Pełno jest pustych miejsc.

12 MARCA.

Jasio Krone nie ma płaszcza! To jest właściwie Janeczka nie ma płaszcza. Janeczka gra Jasia Krone, a Jasio Krone musi nosić specjalny, mocno podniszczony płaszcz. Jutro ten płaszcz potrzebny na planie. Wieczór. Stoimy pod hotelem „Polonia”: asystenci, garderobiani, kierownicy zdjęć. Czyhamy na człowieka w starym, obnoszonym płaszczu. Cóż, kiedy w Warszawie nosi się tylko nowe! Wreszcie po trzech godzinach czekania nowiśa się nam młody jegomość w płaszczu jak trzeba! Rzućmy się na niego jak kruki. To jakiś student. Nie odmawia. Daje się rozebrać bez słowa skargi.

15 MARCA.

Dziś rozpoczęła się dyskusja o motywach miłości w „Pokoleniu”. Dyskutującym życie przychodzi z wydatną pomocą. Teraz już wiem, kto ile miał kobiet, wszystko wiem...

17 MARCA.

Andrzej Wajda ulega scenarii. Niekończące się wieczorne dyskusje, próby, pomysły spełniające rolę przygotowania. W miejscu wybranym do zdjęć rozpoczyna się wszystko od nowa. Wybrane miejsce jakoś inaczej determinuje kompozycję, mizansenę, gest aktora. I tu w obliczu konkretnej scenarii wysiłek twórców jest największy, tu ujawniają się w całej pełni walory reżysera i operatora jako filmowców.

24 MARCA.

Wypadło mi dziś intonować litanie. Byłem prawie księdzem. Znowu po latach znam tekst litanii na pamięć.

31 MARCA.

Rembertów. Kręcimy tak zwany „paszaj wisielców”. Statystki zachowują się zupełnie nie tak jak trzeba. Utrapienie.

2. KWIEŹNIA.

Tak zwane „oswojenie” długiej panoramy ekspozycyjnej (pierwsze ujęcie filmu). Trzeba wy-

reżyserować około 50 scenek rodzajowych w różnych planach. Ujęcie trwać będzie prawie 3 minuty, będzie to najdłuższe ujęcie w filmie.

5 KWIEŹNIA.

Już trzeci dzień synchronizujemy wszystkie akcje do panoramy ekspozycyjnej.

6 KWIEŹNIA.

Bohdana Czeszko bardzo niepokoi sztabacka czapka Jasia Krone.

7 KWIEŹNIA.

Wciąż ewicujemy panoramę ekspozycyjną. Tadek Łomnicki robi już po 300 rzutów „pikulem” (nazem) bez żadnego pudła.

10 KWIEŹNIA.

Panorama ekspozycyjna nakręcona, hurra! A Doroty wciąż nie mamy.

15 KWIEŹNIA.

Zabłąkani w Hali Mirowskiej. Tutaj, przed samym meczem szermierczym Polska — ZSRR, z pomocą kamery Kroniki Filmowej próbujemy różne kandydatury na Dorotę.

17 KWIEŹNIA.

Przygotowujemy ucieczkę Jasia Krone. Od kilku dni szukamy wszyscy podwórek przedzielonych wysokim murem.

19 KWIEŹNIA.

Aktorki do roli Doroty wciąż nie ma. Szukamy Doroty na ulicy. To samo, co szukać igły w stogu siana. Ciekawe, że nikt z ekipy nie zaproponował znajomej, ani przyjaciółki. Czego się chłopcy obawiają? Czyżby zarzut, że mają zły gust?

22 KWIEŹNIA.

Kręcimy ucieczkę Jasia Krone. Tej sceny nie było w scenopisie. Improwizacja? Tak jest. Reżyser odkrył świetne podwórko na rogu Kruczej i Alei Jerolimskich. Tu kręcimy zasadniczą część ucieczki Jasia. Bramę z obrazami, które sprzedaje ślepiec, wymyślono przy biurku, czy to znacie... Refleksja ogólna: w realistycznej koncepcji dzieła filmowego nie należy traktować tekstu scenopisu dogmatycznie. Scenopis ma prawo zmieniać się, a to pod wpływem realiów, scenarii i wreszcie pod wpływem wciąż żywej inwencji autorów. Ileż można zmienić samą scenarię. Określa ona środowisko, topografię, atmosferę, stać się może elementem dramatycznym. Ileż razy jakieś konkretnie wybrane miejsce w plenerze wywarło nam zupełne, burzyło po prostu koncepcję sceny, wymyślono przy biurku. Czyżby to był dowód żenującego ubóstwa wyobraźni autorów, kiedy się zamykają w czterech ścianach?

30 KWIEŹNIA.

Doroty wciąż nie ma! Rozpacz!...

ANDRZEJ WAJDA

W imieniu liczby mnogiej

JESTEM zdania, że prądy w sztuce mogą powstać tylko przez ustosunkowanie się krytyczne do sytuacji bieżącej. Nie można jak Don Kichot walczyć z wiatrakami. Trzeba dać odpowiedź konkretną na pytanie, jak powinien wyglądać nasz polski film. Czas najwyższy, aby rozpoczęła się dyskusja na materiale faktów zamiast nie zawsze słusznych teorii. Jeżeli w tej dyskusji myślę o naszym filmie, to warto powiedzieć, o co pokusiliśmy się w tej robocie:

1. Najpierw o bohaterach. — Kto jest bohaterem, tzn. człowiekiem, który się wyróżnia? Taki człowiek, o którym świadczą jego czyny. Otóż żeby zbudować postać bohatera, trzeba pokazać jego czyny — trzeba STWORZYĆ SYTUACJE, w których wznieś się ponad innych, okazać się kimś lepszym, mądrzejszym, silniejszym, niż o nim myślał widz.

2. Ale to nie wszystko, te czyny muszą być KONIECZNIE POKAZANE, bowiem widz nie zna naszego bohatera, nie ma powodu wierzyć mu na słowo. Ci, którzy opowiadają o niezwykłych zdarzeniach, zawsze chwalić się tym, że widzieli je na własne oczy — nie wolno widza w kinie traktować inaczej, on też musi pochwalić się — sam to widziałem. Dlatego film nasz jest widowiskiem.

3. Ale widowiskowość nie wyjaśnia wszystkich widowisk mogą być różne, znamy prze-

cież filmy, w których wystylizowano obraz — unieruchomiono go niemal dla oddania patosu. Nie tędy jednak poszły nasze skromne poszukiwania — film jest sztuką żywą. Film zmienia się bez przesady tak prawie, jak damska moda. Śmieję się na dziś pewne chwyty, mówimy o nich, że są naiwne, chociaż kiedyś były świetne.

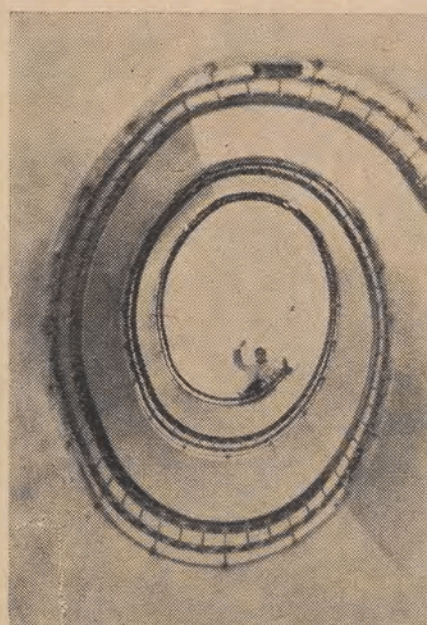
Realistyczna szkoła włoska ma bezspornie wpływ na światową kinematografię — jej linia poszukiwań jest słuszną; potwierdza to film japoński i dlatego jeżeli zauważycie coś, co nasz film przybliża do ich stylu, nie martwiecie się — to oznacza, że znajdujemy się na dobrej drodze, że idziemy we właściwym kierunku, chociaż jest to mizerny początek.

4. Używam wszędzie liczby mnogiej, mówiąc o założeniach filmu, a u dołu przeczytacie państwo tylko jedno nazwisko — to jest czwarte i ostatnie, co chcę wam zasignalizować. — Nasze mądre przysłowie mówi: „Co dwie głowy to nie jedna”, ale nie każde dwie głowy są mądrzejsze od jednej, lecz tylko te, które mają coś wspólnego i dlatego używam liczby mnogiej mówiąc o filmie „Pokolenie”: jest ono dziełem kolektywu, nie dwóch ale kilkunastu głów. Wszystkie są młode i dręczą je myśli o tym, żeby widz nie nudził się w kinie.

ANDRZEJ WAJDA

JANUSZ WEYCHERT

Cena wzruszenia



Śmierć Jasia Krone

A więc na początku, żeby nie było wątpliwości, wzniesienie wiary: bardzo wysoko cenię „Pokolenie”. My, młodzież — a także starsi pracownicy filmu, nie jesteśmy łatwymi widzami. Potrafimy zgryzać zębami na projekcjach najbardziej uświęconych filmów, nawet na filmie „Rzym — go dzina 11”.

Z tego nie wynika, że nie potrafimy się wzruszać. Przeciwnie, właśnie wzruszenie jest dla nas najwyższym kryterium wartości. Wzruszamy się, czyli zapominamy o podpatrywaniu z zazdrością albo z ironią tajemnic cudzego kunsztu. Bardzo wysoko oceniam film Wajdy, bo właśnie zapomniałem o „podglądaniu”, a zacząłem wzruszać się losami jego bohaterów, Jasia, Stacha czy Doroty.

O, czcigodni przeciwnicy „Pokolenia”! Wiem dobrze, że nie można dyskutować o filmie na płaszczyźnie czyichś tam osobistych wzruszeń. I nie dyskusja jest celem tego felietonu. Odkrywszy karty entuzjasty robię unik w sferę innych spraw, bardziej ogólnej natury.

Z niedawnej dyskusji nad „Pokoleniem” w łódzkiej PWSF najbardziej zapadło mi w serce wystąpienie Kazimierza Kuca, który był asystentem Wajdy. Kuc opowiedział m.in., jak narodziła się koncepcja ostatniej sceny filmu. Ciekawa jest w ogóle droga — od powieści do filmu. Zналиśmy dobrą powieść Bohdana Czeszki. Później powstał bardzo zły scenariusz. Można było w nim znaleźć sekwencje prawie z gatunku owej sekwencji „Zakazanych piosenek”: idzie z pepeszą dzielną Duszyński, a w tle strzelają armaty, jada czołgi, płyną szlantary wśród obłoków.

W żargonie filmowym nazywa się to etiudą montażową, która w skrócie ma ukazać tzw. tok zdarzeń historycznych. W scenariuszu „Pokolenia” były podobne migawki z konspiracyjnej działalności młodych gwardzistów. Aby tylko czego nie pominąć z dziejów okupacji!...

A potem powstał znacznie lepszy od scenariusza scenopis. Już bez „migawek” niemal, lecz z poważnymi pęknięciami w dramaturgii (przedwczesne związanie Stacha z Dorotą) i statystkami przeprowadzeniem wielu kluczowych scen. I wreszcie powstał — film. Słaby, niezły, czy doskonały, ale na pewno lepszy, inny, niż scenopis. Bardzo inny. Przypatrzmy się temu bliżej. Wajda i jego kolektyw odślonili nam pewną metodę. Powiedzmy, nie nową, ale na gruncie polskim rzadko stosowaną.

Czy pasję twórczą, dążenie do nieustannego doskonalenia kształtu dzieła, można nazwać metodą? Chyba będzie to określenie co najmniej nieścisłe. Lecz jeśli tak nazywamy u René Claira idealnie dokładne opracowanie na papierze przyszłego filmu, który kręca właściwie asystenci — to czemuż nie nazwać metodą — nieustannych zmian w stosunku do pierwotnego zapisu.

Praca nad filmem, eksperymen'y aż do końca! To nie jest tylko takie sobie haselko rzucone w próżnię. Adresaci tego hasła istnieją. Myślę tu o rzeczywistej praktyce wielu naszych twórców, którzy pracę reżyserską kończą właściwie ze scenopisem. Dopuszczają oczywiście pewne zmiany sytuacji, dialogu, rozwiązania ujęć, lecz nigdy nie dochodzi do zmiany całej sceny!...

Kuc opowiadał: nikt w ekipie „Pokolenia” nie był zadowolony z zakończenia, proponowanego w scenariuszu Czeszki. Mijały tygodnie i miesiące, minął planowany termin nakręcenia tej sceny — i ciągle wszyscy omijali decyzję, jaki ma być koniec filmu. I wreszcie pewnego dnia — „już leżaliśmy w łóżkach” — zrodził się pomysł sceny kończącej film. Trzeba pokazać Stacha bezpośrednio po aresztowaniu Doroty i po nocy z nią spędzonej, gdy czeka na nowozwierzbowanych gwardzistów. Stach płacze, musi płakać! — bo w grupie młodzieży widzi dziewczynę, podobnie ubraną jak Dorota, też na rowerze. Odbicie własnych wspomnień... Zaraz na drugi dzień, w głębokiej tajemnicy, grupa realizatorów nakręciła ów nowy wariant. Jego wartość mogliśmy ocenić na ekranie.

Czas na konkluzję. Na drugi dzień po dyskusji słyszałem głosy, że wystąpienie Kuca propaguje bałaganiarstwo. Że co są warte plany finansowe i organizacyjne wobec perspektywy stałych zmian i przeróbek. Cóż można na to odpowiedzieć?

Ta opinia wydaje się najbardziej groźna. Odbiera reżyserowi prawo do wszelkiej inwencji, stwarza po różnych komisjach, akceptujących scenariusz, scenopis i obsadę — jeszcze jedno uko igielne, tym razem organizacyjno-ekonomiczne. W przeważającej liczbie wypadków chodzi zresztą o zmiany artystyczne, koncepcyjne, które nie prawie, albo niewiele zmieniają w planie finansowym. Tak też należało zrozumieć wypowiedź Kuca.

Wreszcie ostatnia sprawa. Kuc opowiedział o twórczym wkładzie w pracę nad filmem Tadeusza Łomnickiego, o twórcy roli Stacha. To ważne! W „Pokoleniu” widzimy przykład naprawdę kolektywnego wysiłku twórczego. Inicjatywa przebudowania dramatycznego wątku Stach — Dorota, przeniesienia kulminacyjnego momentu miłości młodych niemal na koniec filmu — wyszła od Łomnickiego. Podobnie przeróbki innych scen inspirowane były czasem przez aktorów.

Powiedzmy sobie szczerze: nie możemy jeszcze w tej chwili liczyć na doskonałe scenariusze i scenopisy. Pisarze mają zbyt niki doświadczenie filmowe. A także współpracujący przy scenariuszach reżyserzy.

W takim razie, skoro nie stać nas na metodę René Claira, to dla dobra naszego filmu i sprawy, o którą ten film chce walczyć, musimy uznać wielką wartość metody kolektywnej Wajdy. Metodę pracy właśnie kolektywnej, metodę eksperymentowania do końca.

JANUSZ WEYCHERT

ŁÓDŹ LITERACKA

BYŁA późna jesień, kiedy zdecydowałem się zabrać systematycznie do nauki. Postanowiłem pójść po raz pierwszy do biblioteki zakładowej, o której opowiadano mi tyle ciekawych rzeczy. Biblioteka mieściła się poza murami fabryki, w jednym z budynków szkoły przemysłowej, na pierwszym piętrze. Szło się tam długim korytarzem do samego końca, na drzwiach wisiała mała karteczka z ręcznym napisem: „Biblioteka czynna codziennie od 17—19”.

Zapukałem ostrożnie, z wnętrza odpowiedział mi stary głos: „tak”. Wszedłem starając się cicho zamknąć za sobą drzwi, które skrzypiały niemiłosiernie. Za barierą, przy małym stoliku, siedział człowiek lat około siedemdziesięciu, z koroną białych włosów wokół potylicy, w okularach o podwójnych szklach, i czytał. Gdy wszedłem, oderwał się od książki, wstał, zbliżył się do bariery, spytał:

— Pan w sprawie książek?
— Tak.

Bibliotekarz trzymał w ręku grube, oprawne szkło z rękojeścią. Zrozumiałem, że używa go do czytania. Widocznie ma bardzo słaby wzrok — pomyślałem.

— Czy tu jest jakiś katalog?

Staruszek spojrzał na mnie z pogardą, wyprężył się, jak tylko mógł, i rzekł z dumą, wskazując na siebie:

— Katalog to ja.

Przyjąłem to oświadczenie z niepokojem. Osobliwa biblioteka: bez katalogu.

— To będzie gorzej — stwierdziłem nie bez melancholii.

— Nic nie będzie gorzej. Będzie lepiej. Proszę, co pan sobie życzy, natychmiast pan dostanie.

Spojrzałem wgląd dużego pokoju. Wszędzie stały półki, zawałone książkami. Obliczyłem na oko, że biblioteka liczy około piętnaście tysięcy tomów...

— Czy to możliwe, żeby jeden człowiek ogarnął pamięcią tyle tytułów i autorów? — rzekłem ze szczerym podziwem.

— Najzupełniej — odpowiedział staruszek. Był, widać, moimi uwagami podenerwowany, bo stojąc bębnił palcami po barierze i patrzył na mnie nieufnie.

— A pan właściwie kto? Jeszcze mi się pan nie przedstawił.

— Nazywam się Łagwa. Z zawodu jestem zero, chwilowo pracuję w tutejszych zakładach jako rozdzielnia, a z zainteresowań — miłośnik literatury, próbuję trochę pisać.

— A ja nazywam się Liss. Różnica między mną a takim zwykłym lisem jest ta, że ja piszę się przez dwa s. Liss.

Bibliotekarz wypowiedział jeszcze raz swoje nazwisko przedłużając sykiem końcowe zgłoski.

— Proszę w takim razie o dobrą historię literatury polskiej i światowej.

Liss podszedł do jednej ze środkowych półek i ani chwili się nie zastanawiając, wyciągnął dwie grube, oprawne w płótno książki. Potem położył je przede mną na barierze.

— Widzi pan, że to bardzo łatwe. A teraz pozwól pan, że to wszystko ładnie zapiszemy.

Wziął ze stolika przygotowane uprzednio kartuszki, wpisał na jednej z nich moje nazwisko, tytuły książki i chowając ją do malej, podręcznej skrzyneczki powiedział:

— Chciałbym wiedzieć, w które dni będzie pan bywał w bibliotece.

— Najczęściej w soboty.

— Gdyby mnie pan tu nie zastał, proszę pukać do mojego mieszkania. Mieści się ono w tym samym korytarzu. Zaraz je panu pokażę.

Liss wygasił w bibliotece światło, wziął do ręki pęk kluczy, ręczną latarkę i oświetlając ciemności, szedł przede mną. Idąc pochylił się mocno do przodu, zdawało mi się, że za chwilę upadnie i gotowy byłbym śpieszyć mu natychmiast z pomocą. W drugim końcu korytarza zatrzymał się, zagrzytał w zamku klucz i otworzyły się drzwi do pokoiku. Był on tak mały, że mieściły się w nim zaledwie łóżko, stolik, taboret i jedno krzesło.

— Tu mieszkam. W razie potrzeby proszę pukać. Ja nigdy nigdzie nie wychodzę. Jestem albo w mieszkaniu, albo w bibliotece. A teraz, do widzenia.

Liss podał mi rękę, zamknął za mną drzwi. Usłyszałem jeszcze, jak chrząknął, i zszedłem po schodach na dół.

Z Lissem zaprzyjaźniłem się wkrótce do tego stopnia, że zaczął zapraszać mnie do swojego mieszkania. Czasami zastawałem u niego kobietę, która przyrządzała mi maszynę spirytusowej kotłeczki z poledwicy.

— To jest moja Bronia. Bez niej zginąłbym jak Wisła w morzu — powtarzał wielokrotnie Liss. Gdy mówił to przy niej, płonila się i odpowiadała:

— Przecież pan także potrafi gotować nie gorzej ode mnie. A takiej herbaty, jak pan, nikt nie umie przyrządzić.

Bronia miała rację. Wiedziałem o tym bardzo dobrze, bo Liss, ilekroć doń przyszedłem, częstował mnie herbatą.

Bronia mogła liczyć trzydzieści lat, miała gład-

ką, białą twarz, o takiej kobiecie mówi się: cera jak śmietana; obnażone do łokcia ręce wskazywały, że jest pulchniutka jak utuczona gaska. Przychodziła do Lissa trzy razy w tygodniu, robiła porządki, smażyła kotłeczki z poledwicy, zamiatła korytarz. Liss płacił jej za to kilka złotych miesięcznie; Bronia była biedna, miała chorego męża, podierała więc w ten sposób swój budżet domowy. Nie mogłem się dość nadziwić, że człowiek żyjący w podobnych warunkach może tak dobrze wyglądać. Bronia stanowiła bez wątpienia jeden z cudów natury, inaczej nie potrafiłbym sobie tego wytłumaczyć.

Liss zastawałem zawsze przy czytaniu. Na swoje normalne okulary zakładał szkła wzmacniające, brał do ręki szkło z rękojeścią i jeżdżąc nim po stronicach, czytał w skupieniu.

— Widzi pan — mówił do mnie, ile razy zastałem go przy książce — życia zostało mi mało, a dzień, który powinienem znać, jest tak wielki, to muszę czytać wciąż, nieustannie. Zresztą był taki okres w moim życiu, kiedy w ogóle nie miał dostępu do literatury polskiej. To było w Ameryce.

JAN KOPROWSKI

WIECZORY U LISSA

Liss urodził się i wychował we Lwowie. Tam skończył uniwersytet, potem wyjechał w grupie młodych ludzi do Stanów Zjednoczonych, by krzewić wśród tamtejszej Polonii polską kulturę.

— Były to naiwne marzenia młodzieńcze, które szybko dostały w łeb. W Ameryce nie było czasu na krzewienie kultury, każdy z nas musiał mieć się 'pracy, by z czegoś żyć. Początkowo pracowałem w gospodarstwie w Chicago jako kelner, potem w sklepie jako kantorzysta. Jedyną korzyścią, jaką stamtąd wyniosłem, była znajomość języka angielskiego. Niech pan sobie nie myśli, że przyszło mi to łatwo. Kupiłem sobie zeszyt i wpisywałem do niego słówka, których potem uczyłem się na pamięć. Po jakimś czasie znałem już kilka tysięcy słów angielskich, rozumiałem, co do mnie mówią, lecz słowa-m do nikogo powiedzieć nie potrafił. Przystąpiłem do nauki od nowa. Zaczęłem poznawać gramatykę, składnię, sklejać po trosze zdania. Kosztowała mnie ta nauka wiele trudu, bo uczyłem się zupełnie sam, nikt mi w tym nie pomagał, ale mogę powiedzieć o sobie, że znam ten język dobrze. Piękny to język, zwyciężył, choć nie ścisły. Ma bogatą literaturę, z którą warto, by się pan zapoznał. Czy pan zna język angielski?

— Niestety, nie miałem gdzie i kiedy się nauczyć.

Liss rozporządzający kolosalną wiedzą, chciał ją przelać na mnie w całości i natychmiast. Była w tym wielka niedcierpliwość serca, znamionująca młodość ducha i to najbardziej mnie cieszyło.

— Pan nawet nie wie, za co ja pana polubiłem.

— Nie, tego naprawdę nie wiem.

— Bo, widzi pan — Liss zdębnął dodatkowe szkła z okularów — bo widzi pan, droga przez pana wybrana, to jest ta, którą ja chciałem pójść, ale życie obeszło się ze mną po macoszemu. Ja także, jak pan, chciałem zostać pisarzem. Teraz, sam pan rozumie, wszystko stracone. Pan jest młody, przed panem piękna przyszłość. To, co pan pisze, nie ma na razie sensu, ale ważne jest uświadomienie sobie, czego człowiek chce. U pana to przyszło wcześniej, u mnie późno i dlatego nie zdołałem zrealizować swoich zamierzeń.

Liss patrzył na mnie miękko, rzekłbym, tklawie, jak na syna.

— Pan wie, że ja jestem kawaler?

— Nie, nie wiem.

— Pewnie, przecież ja panu o tym nie mówiłem, to skądże miałby pan wiedzieć. Widzi pan, ja nawet nie zdążyłem się ożenić w moim życiu. Pan to musi zrobić. Co to za pisarz byłby z pana, gdyby miał pan spędzić życie w kawalerstwie. I niech pan pisze o tym, co pan dobrze zna. Tylko realna prawda ma znaczenie. Niech pan nie szuka w literaturze dziwactw, bo to sływa szybko, jak po psie woda i śladu żadnego nie zostawia. A jakie pan zna języki?

— Niemiecki i francuski, uczę się rosyjskiego.

— To dobrze. Będziemy mówili ze sobą po niemiecku i po francusku.

Liss powiedział parę zdań w obu tych językach, a potem nawrócił na polski.

— Wie pan, że ja po wariacku zakochany jestem w polskiej literaturze i języku. Nie mogę sobie wyobrazić, że mógłbym żyć w innym kraju. A ja znam inne kraje. Byłem nie tylko w Ameryce, także w Niemczech, Francji, we Włoszech i na Bałkanach. Gdzie indziej jest nawet lepiej, niż u nas; bieda mniejsza, a przecież nie zamieniłbym się z nikim. Pan tego nie rozumie, bo pan nigdzie jeszcze nie był. Czy

pan wie, co to znaczy tęsknić za krajem, za ojczyzną? Naturalnie, że pan nie wie, bo i skąd miałby pan wiedzieć. Czy pan wie, że biedny próg w chłopskiej chacie wspominałem za granicą jak coś świętego. Liche drzewko, zapamiętane z dzieciństwa czy młodości, wydawało się piękniejsze od palm i wspaniałych kanadyjskich sosn. Widzi pan, człowiek przywiązany jest do swojego kraju jak kora do drzewa. Czasami się nawet dziwiłem, skąd się to u mnie bierze. Przecież ta Polska jest biedna, ludziom żyje się tutaj jak w średniowieczu. Lud jest gnębiony i wyzyskiwany, cywilizacja jak za Piasta: chłopci orzą ziemię sochami. Na myśl o tym chciało mi się płakać z bólu, dąbiłbym ziemię kawałami, by wyładować złość swoją i nienawiść. A przecież za żadne skarby nie porzuciłbym tej nędznej polskiej ziemi. Powie pan: uwiadł starczy, spóźniony romantyzm i pomysł pan sobie: stary Liss kompletnie zwariował.

— O, nie — broniłem się gestykując — pan nawet nie wie, jak mi jest bliskie to, co pan mówi.

— Niech pan czyta polskie powieści, zobaczy pan, jakie nasz naród wiodł życie. Nie było w nim miejsca na radość. Cudzoziemcy, znający polską literaturę, dziwią się, dlaczego w niej tyle smutku, czemu pisarze nasi pisali takie ponure rzeczy. A o czym mieli pisać? Pisali o tym, co ich bolało, co bolało cały znękany naród. Tak, drogi, młody panie, nie oddałbym tego nikomu, nie zamieniłbym się z nikim na naród. Bo naród jest ważny, nie rząd, nie regime, a naród, niech pan sobie to zapamięta.

Liss podszedł do ściany i przekreślił kontakt. Światło zalało cały pokój. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że siedzieliśmy obaj w ciemności. Liss patrzył na mnie, jakby chcąc sprawdzić, jakie jego słowa wywołują wrażenie.

— A wie pan — odezwał się znowu Liss — najciekawsze jest to, że ja sam nie jestem z pochodzenia Polakiem. Dobrze, co?

* * *

Gdy przyszły długie wieczory zimowe, byłem codziennym gościem Lissa. Tej zimy spadł duży śnieg, zawałowało pola i drogi, z okna pokoiku Lissa widziało się bezbrzeżną biel. Bywało tak, że prosto z fabryki szedł do niego, jadłem bułkę z masłem i piłem znakomicie zaparzoną herbatę. Potem stawaliśmy obaj w oknie i poki-



Rys. B. Liberski

nie zapadł zmierzch, patrzyliśmy na drogę, na nagie, drzące z zimna drzewa i przemijających wśród pól ludzi, śpieszących do swoich domostw i zagrod.

— Piękna jest zima w naszym kraju — mówił staruszek.

— Ale ja nie lubię zimy — wpadałem w jego myśli. — To pora roku dobra dla ludzi zamożnych, nie dla biedaków. Najbardziej demokratyczne jest lato, dla wszystkich.

Liss zaśmiał się.

— A ja, wie pan, gdybym był zagranicą, tęskniłem za polską zimą. Ciągłe stały mi w oczach białe, zaspyane śniegiem pola, migające wieczorami światełka w oknach, chmury wron uganających się z wrzaskiem przed nadejściem nocy. Lubilem wtedy czytać opisy zimy. A wie pan, że żaden pisarz dobrze zimy nie opisał? Niech pan to kiedyś spróbuje zrobić: dobrze opisać zimę. No co, może pójdziemy do biblioteki i wybierzemy coś do poczytania?

Liss szedł z latarką w ręce przez długi, ciemny korytarz, ja bałem się, że za chwilę upad-

nie i gotów byłem w każdym momencie pochwycić go za ramię.

W bibliotece długo przeglądaliśmy książki. Teraz mogłem już wchodzić za barierę i grzebać wśród półek do woli. Sprawiało mi to ogromną przyjemność. Pobyt w bibliotece, w ogóle tam, gdzie znajdowało się dużo książek, nastrajał mnie zawsze niepokojąco. Na widok ułożonych równo grzbietów drzałem na całym ciele, zajęcia z książką nigdy nie zdołały mnie zmęczyć.

Liss przekładał szybko znane sobie dobre tomy.

— Niech pan sobie nie myśli, że każdemu wolno tak tutaj wchodzić i grzebać się jak panu. Mam tylko dwoje takich czytelników, którzy zakradli się w moje łaski: pana i jeszcze jedną...

Liss nie dokończył, bo właśnie ktoś zastukał do drzwi i za chwilę wszedł do środka.

— O wilku mowa, a wilk tuż. Widzi pan, to jest ta pani, której również wchodzić za barierę pozwalam. Poznajcie się: Alina Klepalówna, Jan...

— Łagwa — dopowiedziałem kłaniając się nisko i ściskając drobną dłoń przybyłej czytelniczki. Miała na sobie palto z wysokim kołnierzem, futurzaną czapeczkę i wysokie boty.

— Niech pani się rozbierze, tutaj jest ciepło, a zaraz przecież pani nie ucieknie.

Podenwałem się, aby pomóc jej zdjąć palto. Liss uśmiechał się, był widać kontent, że tak się wokół przybyłej uwijam.

— Proszę siadać i opowiadać — Liss, mówiąc to, usiadł pierwszy.

Kiepalówna odezwała się:

— Przyniosłam panu książki i chciałabym prosić o nowe.

— Podobają się?

— Jeśli mam być szczerą, niezupełnie. Nie lubię powieści autobiograficznych, a Angilcy w takich celują. Proszę, niech mi pan takich utworów nie pożyczysz.

Już miałem na języku słowa: „Ależ to właśnie najciekawsze: autobiografie”, lecz w porę powstrzymałem się.

— Jak panu sobie życzy. Pani wie: trudno czego odmówić prośbom pięknej łuzi, chce kobieta, chce Pan Bóg — jak mówią Francuzi.

Kiepalówna zaploniła się po tych jego słowach i zamilkła. Ja patrzyłem na Lissa jakby nowymi oczyma. Wydał mi się oto żywszy, młodszy, nie ulegało dla mnie w tej chwili wątpliwości, że już od pewnego czasu pozostaje pod wrażeniem jej urody. Przyjrzałem się Kiepalównie: bynajmniej nie wydała mi się urodziwa. Miała małą twarz, mały nosek, kibić równą, bez wcięcia (gdzie jej tam do przerwanej w pasie mrówki!), nogi proste, niezgrabne. Ale już teraz mógłbym powiedzieć, że jest miła i ma dużo wdzięku.

— Pan ma wyobraźnię. To dobrze. To bardzo dobrze. Człowiek pozbawiony wyobraźni przypomina wołu. Wie pan, ja nigdy nie zapomnę pewnej sceny z czasów wojny światowej. Pamiętam jak dziś, nasze miasto było obleżone, ulicą obok domu, w którym mieszkałem, przejeżdżał codziennie pewien stary człowiek wozem, zaprzężonym w dwa leniwe woły. Otóż, wie pan, kiedy ostrzeliwano miasto z armat i pociski waliły niedaleko naszego domu, człowiek skończył z wozu, porzucił woły i uciekł do bramy. A woły? Jak pan myśli, co robiły wówczas woły? Nie, nie uciekały. Kładły się najspokojniej na środku jezdni i cały świat niewiele je obchodziło. A jakby się zachowały konie na ich miejscu? Szarpałyby się, wierzyłyby kopytami, reagowałyby na to, co się dzieje. A wie pan dlaczego? Bo konie są inteligentniejsze. Proszę pana, człowiek inteligentny, wyposażony w wyobraźnię, jest trwożliwy, boi się, bo wyobrażenia jego roztacza przed nim najróżnorodniejsze obrazy. Pani pewnie się dziwi, czemu ja mówię o takich sprawach. Bo, widzi pani, pan Łagwa chce być pisarzem i jemu takie rzeczy mogą się przydać. A ja przecież niedługo umrę, to chciałbym się wygadać.

— O, nie — zaprzeczyliście prawie równocześnie z Kiepalówną — pan będzie żył długo.

Łiss zaśmiał się cicho i gorzko.

— A wie pan — zwrócił się znowu do mnie — musi się pan nauczyć dobrze obserwować ludzi. Ale nie tak zwyczajnie obserwować. Ja panu dam przykład. Niech pan sobie stanie kiedyś w hali dworcowej, ale w takim miejscu, skąd będzie pan widział dobrze ręce kasjerki, sprzedającej bilety. Ręce, nie więcej. Niech pan dobrze zapamięta, jak ona nimi manipuluje i niech pan stara się odgadnąć po ruchach jej rąk, czy jest ona tego dnia smutna, czy wesoła. Albo niech pan pójdzie do restauracji. Przecież na pewno będzie pan kiedyś w towarzystwie, czy choćby sam — na wódecie. Proszę zaobserwować, jak chodzą kelnerzy. Jak poruszają nogami, jak jest ich krok. I niech pan się stara odgadnąć, jak długo taki kelner pracuje w swoim zawodzie.

Czułem się mocno zakłopotany słuchając wywodów Łissa. Mówił tak poważnie o moich pisarskich zainteresowaniach, że wprawiał mnie tym w zażenowanie. Gdybym słuchał słów jego sam, może nie odczułbym tego tak mocno. Ale świadomość, że słucha ich także ktoś trzeci, w dodatku młoda kobieta, zawstydziała mnie i czułem, że czerwienię się w tej chwili jak sztabak.

Łiss był niezmordowany, mówił dużo, gdy nalał nam do szklanek herbaty, znowu usiadł, tym razem na łóżku, i opierając się plecami o ścianę monologował:

— Wie pan, ta dzisiejsza literatura jest nieciekawa. Pisarze mają taki wazniutki zasób doświadczeń i do tego nie umieją ich dobrze sprzedawać. I tracą czytelnika, który szuka w książce życia, jego bogactwa, głębokiej i skomplikowanej prawdy o człowieku. I ta literatura jest jakaś przeraźliwie trzeźwa. Ani krzty w niej romantyzmu. A ludzie lubią romantyzm. Bez romantyzmu nie można żyć. Niech pan mi nie weźmie za złe, że znowu opowiem coś o sobie. Panu mówić dużo o sobie nie wypada, pani też, bo jesteście młodzi, ale ja jestem stary i nie mogę już mówić o kim innym. Ja, wie pan, ocalam się w ten sposób przed zapomnieniem. Więc wie pan, gdy byłem w Wiedniu... Czy mówiłem już panu kiedyś, że byłem w Wiedniu? Nie, skądże, na pewno panu o tym nie mówiłem. Otóż, gdybym był w Wiedniu, zakochałem się w pewnej Austriaczce. Była młoda, niech się pani na mnie nie obrazi, podobna do pani, dlatego ja panią tak lubię. Tak więc ja, wie pan, zakochałem się w niej. Ale do tego stopnia, że chodziłem za nią jak ziemia za słońcem. Kupowałem jej kwiaty, chodziłem często do cukierni na herbatę. Ja, wie pan, wolę herbatę od kawy. Herbatą jest napójem weselszym. Niech pan spojrzysz choćby na sam kolor herbaty. Prawda, że jakiś taki optymistyczny, pogodny? Tak się w niej zakochałem, że nie mogłem spać po nocach. To, wie pan, co ja pewnego razu zrobiłem? Udałem się na cmentarz, gdzie pochowany jest Lenau. Wie pan, kto to był? Znany poeta niemiecki, słowiańskiego pochodzenia. I tam przesiedziałem całą noc nad jego mogiłą. Było tak pięknie. Noc cicha, księżyc świecił, cmentarz znajdował się w wzgórzu wśród pastwisk pokrytych rzadkimi drzewami. A naza jutrz opowiedziałem mojej miłej, jak to z wielką miłości poszedłem na grób Lenau'a i z myślą o niej przepędziłem tam noc, aż do rana. Widzi pan, ja mogłem tam wcale nie pójść i też jej to opowiedzieć. Po prostu skłamać. A ja nie. Musiałem mieć za sobą prawdę. Ta nasza literatura dzisiejsza nie ma za sobą takiej prawdy, nie wierzy się w to, co autorzy piszą. Bo oni, wie pan, kłamią, jak z nut, a to w końcu wyłezie na wierzch.

Łiss spojrzął po nas obojgu.

— Ależ ja tu gadam i gadam, a wy pewnie do domu iść chcecie.

Wyjął z kieszeni kamizelki zegarek i spojrział nań przez szkiełko z rekojeścią.

— No tak, już późno, a do domu daleko. Wie pan, idziecie w jedną stronę, to niech pan odprowadzi pannę Kiepalównę.

* * *

W niespełna dwa lata po moim przybyciu do Pruszkowa Łiss zmarł. Był akurat wrzesień, najpiękniejsza w Polsce pora. Ciepłe słońce ogrzewało dorodną, dojrzałą ziemię. W sadach czerwienili się nie zerwane jeszcze jabłka. Po raz pierwszy w życiu opłakiwałem zgon człowieka. Dotychczas nikt z bliskich mi osób nie umarł, nie siedłem jeszcze za niczym pogrzebem. Łiss zmarł rano, w godzinę później byłem już w jego pokoiku. Zwolniłem się z pracy, by móc zająć się jego pochówkiem. W mieszkaniu zastałem już Bronię, popłakującą z cicha, i dyrektora szkoły przemysłowej Gomolińskiego, w jakiś czas potem zjawiała się Kiepalówna. Wiedziałem, że my w czwórkę byliśmy w ostatnim okresie najbliższymi przyjaciółmi zmarłego. Czuliśmy, że ta śmierć łączy nas z sobą i jeszcze bardziej zacieśnia niewidoczne nici przyjaźni. Łiss leżał na swoim łóżku wyprostowany, po raz pierwszy widziałem go bez okularów. Miał duże, otwarte oczy, był pogodny, śmierć wymazała z jego twarzy zmarszczki i smutki. Był w tej samej, jak zawsze, alpagowej marynarce i ciemnych, sztuczkowych spodniach. Na nogach miał nienoszone już dziś buty z krótkimi, niesnurowanymi cholewkami.

Nie leżał w domu długo. Już na drugi dzień po zgonie postanowiliśmy go pochować. Był to osobliwy pogrzeb. Nie szedł przed trumną ksiądz, nie wiozł zwłok czarny, zaprzężony w kare konie karawan, nie łopotały na wietrze żałobne chorągwie, nie grała orkiestra, nikt nie wygłaszał nad grobem przemówienia. Łiss zastrzegł sobie jeszcze za życia, żeby nie wnoszono jego trumny do kościoła i zaniechano wszelkich obrządków religijnych. Był człowiekiem niewierzącym i jako taki chciał być pochowany. Proboszcz parafii odmawiał zgody na pochowanie go na cmentarzu, na usilne prośby dyrektora Gomolińskiego wyznaczył jednak mały kącik w rogu cmentarza, pod samym parkanem, zaznaczając, że czyni to wbrew prawu kościelnemu.

Nieśliśmy trumnę Łissa na ramionach zmieniając się kolejno. Łiss nie miał żadnej rodziny. Za trumną jego szli uczniowie szkoły przemysłowej, uformowani w marszową kolumnę, pracownicy Stowarzyszenia Mechaników, ludzie z miasta. Alina Kiepalówna płakała, było mi jej bardzo żal. Gdybym nie niósł trumny, podszedłbym do niej bez wątpienia, miałem ochotę wziąć ją pod rękę i uciszyć jej prawdziwy smutek. Cmentarz leżał dość daleko, droga prowadziła przez pola, bolały nas plecy od niesienia trumny po nierównym, polnym gościńcu.

Gdy posypały się pierwsze grudy ziemi i piasku na opuszczonej do grobu trumnie, doznałem nagłego lęku przed śmiercią. Wydało mi się to okrucieństwem, że człowiek musi umrzeć. Nie mogłem, nie chciałem sobie wyobrazić, że kiedyś stanie się to samo ze mną. Poczulem głęboką urazę, ba! nienawiść do natury za to, że stawia człowiekowi tamę, której niesposób przeskoczyć, o którą rozbija się nagle wszystko, do czego dążył i co próbował stworzyć. Pojąłem zarazem, że jedyna rzecz, która może nas ocalić od śmierci, to praca, to dokonanie czegoś takiego, co jest silniejsze od nas samych, co przekracza granice śmierci i staje się odradzającym się nieustannie płomieniem życia.

Kim był Łiss, którego przysypała szara, obojętna ziemia? Człowiekiem, szukającym dla siebie miejsca na szerokim, ale nieprzyjaznym dla ludzi świecie. Byłem szczęśliwy, że los zetknął mnie z Lissem, że przez blisko dwa lata mogłem na niego patrzeć i nade wszystko słuchać jego wyznań i opowiadań. Może tym ocalał się istotnie od zapomnienia? Ciało Łissa, do ziemi, ale pozostały w Broni, Kiepalównie, w dyrektorskiej Gomolińskim, we mnie i zapewne w innych jeszcze — jego słowa, doświadczenia, przeżycia. My będziemy o tym opowiadać naszym przyjaciołom, może, a nawet na pewno wejdą one do niejednego serca, staną się częścią jego własnego życia.

Stałem nad grobem, wokół którego powoli pustoszało. Ludzie odchodzili do domów w milczeniu, zabierając ze sobą pamięć o człowieku, który kochał książki i pomagał potrzebującym pomocy. W końcu zostaliśmy tylko we dwoje: Kiepalówna i ja. Staliśmy nie odzywając się do siebie. Potem usiedliśmy opodal na drewnianej ławeczce. Nad nami szumiwały niespokojnie brzozy i osiki, dalej tęskniły w świat wysokie, strzeliste topole. Rzucaliśmy od czasu do czasu spojrzenia ku sobie i wodzieliśmy na pewno, że ta osobliwa chwila zbliża nasze młode, wrażliwe serca. Odnalazłem rękę Aliny i bez słowa położyłem na niej swoją dłoń.

JAN KOPROWSKI

Fragment z przygotowanej do druku powieści pt. „Strumień życia“



Nagrodę literacką Łodzi im. Juliana Tuwima za rok 1954 otrzymał znany poeta łódzki, Marian Piechal.

Równocześnie, z okazji 25-lecia jego pracy pisarskiej odbył się w Klubie Prasy i Książki wieczór jubileuszowy, który zainicjował Stanisław Czernik wypowiedzią poświęconą drodze twórczej laureata.

JAN CZARNY

Kulisiewicz

Żalobną noc
rozprasza światło
i powiew ręki
co raz młodszy

i już rozdmuchał
czas czarodziej
iskierkę głodu
w płomień życia

w krągłość owocu
dojrzałego
w kulistość drzewa
kwitnącego.

CZESŁAW JANCZARSKI

* * *

Krokom odebrać można siłę,
sercu nadzieję,
oczom światło.
Uschnie drzewo przegniłe,
skończone dzieje:
zabić jest łatwo.

A ja przecież jednak żyję
i wiersze piszę nawet,
jak ptak na wiosnę gniazdo wije,
zbieram piórka i trawę.

Każde słowo i zdanie,
drżące, niczyje,
podnoszę, chucham na nie:
czy mi ożyje?

Każdy dźwięk, każdą nutkę
podnoszę jak ziemi grudkę,
zblakany blask księżyca,
szmer, co w trawach się chowa...
I to jest okolica,
którą poznaję od nowa.

TADEUSZ FANGRAT

Na granicy

Winograpy
W zmierzchu porze,
Zamyśl gniewu
W parnych górach
I śpiew drwali
W rudym borze
Porębami
Rwący ku nam.
A my mali
Na pagórku
Pod ochroną
Dzikich pnączy
Rozprawiamy
Mową braci
O Dunaju,
Co po waśniach
Zgoił rany
I dziś zgodnie
Ludy łączy.

Gwiazd patrolę
Szlakiem strumym
Nad falami
Myśli wleka
I tę ciszę
Serc bijących
I ten pastwisk
Głuchy klekot...

Esztërgom (Węgry) 1954

Andrzej Kijowski

LIPCOWA POGODA

PEWNEGO dnia, który był jednym z ostatnich w roku szkolnym, zjawiała się u dyrektora szkoły rolniczej w kłenczkowskim dworze delegacja ZMP-owców przedostatniego kursu. Prowadzący delegację uczeń Stanisław Trzós uprzedził dyrektora, że sprawa, z którą przychodzą, jest bardzo ważna i absolutnie tajna, po czym oświadczył, że delegaci reprezentują nie całość organizacji ZMP-owskiej, ale jej czołowy, najbardziej bojowy i czujny aktyw. Powiedział, że odgarnął energicznym ruchem kosmyki włosów spadające mu na wypukłe czoło, pokryte drobnymi pryszczkami i nerwowo poruszył górną wargę, a stojący za nim trzej spoceni chłopcy i jedna dziewczyna — wszyscy w zielonych koszulkach — na różne sposoby przytaknęli jego słowom. Dyrektor był już przygotowany na wszystko, to też kiedy dosłyszawszy, że ów najbardziej czołowy, najbardziej bojowy i czujny aktyw szkolnej organizacji ZMP domaga się natychmiastowego usunięcia stróża nocnego, który okazał się klasowo wrogi i ideologicznie szkodliwy, dyrektor ledwo wstrzymał się od westchnienia ulgi. Natychmiastowe usunięcie stróża nocnego wydało mu się w pierwszej chwili bagatelką wobec tego, co zapowiadały chmurne miny delegatów. Ale zaraz zreflektował się. Nie, to nie bagatelka. Stróż nocny i zarazem ogrodnik Jakub miał blisko osiemdziesiąt lat i — można powiedzieć — nieomal tyleż lat służby. Urodził się w tym samym domku koło wjazdowej bramy, w którym dotąd mieszkał. Był synem stróża i stróżem pozostał. Pierwszą myślą, jaka dostała się do jego świadomości, było: nie wypuszczać obcych. Z tą myślą przeżył całe życie, tej jednej myśli pozostał wierny, chociaż miejsce dawnych właścicieli pałacu, parku, bramy wjazdowej oraz jego samego — Jakuba zajęła Państwowa Szkoła Rolnicza.

Jakub był sam. Żona go odumiała, dzieci poszły w świat. Jedynym jego towarzyszami były psy. Jedyną racją życia pilnowanie bramy oraz troska o piękno parku. Czyż można tak łatwo pozabawić człowieka wszystkiego, czym dotąd żył? Nie, sprawa, z którą przyszedł ZMP-owcy nie była bagatelna. Dyrektor zatroskał się więc bardzo i, pomysławszy „będzie kłopot”, poprosił o bliższe wyjaśnienia.

Trudno powiedzieć o dyrektorzce, by lubił młodzież. Nigdy w życiu nie miał do czynienia z jej wychowaniem. Przed wojną, pogrążony w radykalnym ruchu ludowym, dzielił czas między zebrania i więzienie. Wojnę przeżył w obozie koncentracyjnym. Stanowisko dyrektora szkoły było emeryturą, aktem wyrozumiałości wobec odmroźonych rąk i nóg, zszarpanych nerwów, dziurawych płuc oraz głowy oszalonego nadmiarem przeżyć. Dyrektor Madej, bo tak się nazywał, a nazwisko to wiele może powiedzieć ludziom dobrze zorientowanym w historii przedwojennych walk chłopów, ów kłopotliwy, łysy człowiek, o kwadratowej twarzy, napiętnowanej grymasem gorzkiej mądrości, żył zawsze pełnią ludzkiej energii. Nie miał zrozumienia dla złud i fałszów młodości — uważał ją za stan tymczasowy, z którego jak najprędzej należy wyjść, traktował ją jak ułomność, której za wszelką cenę trzeba się pozbyć.

Jako pedagog stawał codziennie wobec nieoczekiwanych i trudnych problemów. Miał naprzeciw siebie młodzież, która pyszniła się swoją młodością, jak przywilejem, jak dyktando, jak swego rodzaju szlachectwem. Młodość dyrektora Madeja i jego rówieśników kipiła niecierpliwą złością: dlaczego ciągle jesteśmy młodzi? Przystanie nam mawiać, że jesteśmy młodzi. Przystanie nas uczyć i wychowywać. Przystanie nas pilnować! Obecni wychowankowie dyrektora Madeja nie byli niecierpliwi. Przeciwnie, zdawali się wszystkich wokół przestrzegać: „Prosimy pamiętać, że jesteśmy młodzi. Prosimy wychowywać nas, uczyć i nie psuć”.

To też dyrektor z pewnym zdumieniem słuchał słów ucznia Trzosa, w których ów delegat z wypukłym, przyszczałym czołem uskarżał się, że stróż nocny Jakub „zły wpływa na młodzież”.

Jakub odnosił się bardzo nieprzyjaźnie

nie do młodzieży. Był jedynym człowiekiem, który pozostał z dawnej pałacowej służby. Chłopską młodzież, która zajęła pałac i która miała prawo biegać dowolnie po ogrodzie i parku, Jakub traktował jak intruza. Był grzeczny, ale ponury, zgryźliwy i przybierał ton pewnej laskawości. Można było odnieść wrażenie, że Jakub uznaje fakt pomieszczenia szkoły rolniczej w pałacu za fanaberię i laskę swych dawnych państwa. Jakubowi prawdopodobnie trudno było zrozumieć, że ktoś inny już dysponuje pałacem. Ktoś inny — według niego — mógł pałac tymczasowo zająć, ale ponad tymi wszystkimi niesłychanymi zmianami musi jednak być wola państwa, która pewnego dnia nagle się odmiennie i wtedy znad bramy zniknie państwowy szyld, a z gazonu przed gankiem emblemat ZMP ułożony z kolorowych kamyczków. Pójdą precz wrzaskliwi chłopcy i pękate dziewczęta... Na kortach tenisowych i na trawnikach parku bawić się będą chudzi panice i smukłe panienki, na ganku siadywać będą państwo, do czworaków wrócić fonnale, do stajni cugowe konie, a on Jakub, dostanie surowy rozkaz, by już nigdy nikogo obcego poza bramę nie wpuścić.

W granatowym, dobrze już wypłowiałym mundurze z herbowymi guzikami snuł się Jakub po parku, spoglądał złym okiem wokół i parę razy na dzień zjawiał się u dyrektora na skargę:

— Papierek rzucono — mówił monotonnym głosem, w którym było więcej złośliwej satysfakcji niż gniewu — na klomb rzucono papierek — powtarzał zjadliwie i to, co znalazł, kładł dyrektoremu na biurku.

— Złamano — oznajmiał znużonym głosem — kładąc na biurku dyrektora gałązkę bzu, którą znalazł na ścieżce.

— Zerwano, podeptało, kamienie się do sadzawki wrzuca, chodzi się po drzewach — codziennie dyrektor Madej słyszał takie meldunki, wobec których musiał ciągle udawać gniew i obiecywać Jakubowi surową interwencję. Jeżeli usiłował go zbyć, Jakub obrzucał go spojrzemieniem dziwnie drwiącym i pogardliwym i mówił wciąż tym samym monotonnym głosem:

— Onych się nie pilnuje, to ony broją. Onych trza pilnować. Ony nie wiedzą, co się należy, a co nie.

Była w tych słowach zimna pogarda dla ludzi, którzy zajęli miejsce państwa, a nie umieli uszczeczyć wszystkiego piękna, jakie znalazło się w ich pieczy.

Młodzież oczywiście nie lubiła Jakuba. Unikała go. Był tak niemili, że nawet nie prowokował do żartów.

Toteż dyrektor bardzo się zdumiał tym, co usłyszał od ucznia Trzosa. Okazało się, że Jakub miał przyjaciół wśród młodzieży. Okazało się, że ich szukał. Liczył w tym względzie na chłopów i dziewczęta z najbliższego kursu, na nowicjuszy, którzy przybywali trochę spłoszeni, tęsknieli za rodzicami i błąkali się po parku onieśmieleni wspaniałością magnackiej rezydencji. Wtedy spotykali Jakuba, który według słów ucznia Trzosa — wykorzystując całą perfidią ich mały stopień wyrobienia ideologicznego — bałamucił ich opowiadaniami o kulturze i dobroci obszarńników, o dostatkach, w jakim żyła służba za obszarniczych rządów, o pięknie tamtych czasów, których oni — dzieci nowych rządów i nowych czasów, nigdy już nie poznają. Uczeń Trzós i pozostali delegaci twierdzili z całym przekonaniem, że pogaduszki starego stróża są świadomym wrogiem roboty, której skutki są widoczne: ZMP ma ogromne trudności z wciągnięciem w swe szeregi owych najmłodszych elementów, którymi na wstępie zaopiekował się wróg.

Oto dlaczego aktyw ZMP domaga się natychmiastowego usunięcia Jakuba ze szkoły. Oto dlaczego aktyw uważa tę sprawę za doniosłą. Oto dlaczego prosi o zupełną dyskrecję. Aktyw obawia się, że usunięcie stróża mogłoby wywołać ferment wśród elementów wrogich i chwiejnych. Aktyw spodziewa się taktycznego rozstrzygnięcia tej sprawy. Tak zakończył uczeń Trzós swoje przemówienie.

Dyrektor Madej wstał, obiecał zastanowić się, zbadać, postawić na POP, podziękował, uściśnął ręce delegatów i został sam.

Jego gabinet tonął w zielonym półmroku. Wielki, rozrośnięty kasztan dotykał prawie futryny okiennej swymi szerokimi liśćmi podobnymi do ludzkich dłoni. Duszy zapach rozgrzanego słońcem listowia przypominał zagajnik, w którym można się zaszyć, kiedy człowiek chce być sam, lub świeżo skoszonej trawy, w którą można się zagrzebać, kiedy człowiek chce spać.

Dyrektor przeciągnął się leniwie. W swoim długim życiu musiał rozstrzygać wiele przykrych spraw personalnych. Zawsze w takich wypadkach dochodziło do przekonania, że nie nadaje się do rządzenia. Wróg lub winowajca pobudzał go do gniewu dotąd, dopóki nie zobaczył z bliska jego twarzy, oczu, rąk.

Zapukano do drzwi. Wszedł stróż Jakub. Stał powoli i ostrożnie, jakby się bał podeptać posadzkę. W ręce niósł jakiś szary przedmiot.

— Cóż wy mi znowu przyniosiecie? — zagadnął niechętnie dyrektor.

Jakub złożył na biurku małą kamienną rączkę — drobne paluszki były rozczapierzone, jakby ich kamienny właściciel wolał o ratunek.

— Ułupano piłką — oznajmił stróż drewnianym głosem, pełnym rezygnacji i niechęci do faktu, którego musi być świadkiem. — To z anioła w parku.

W parku stało kilka posągów, które nie miały wprawdzie wielkiej czy nawet żadnej wartości artystycznej, ale których kształty bardzo przestraszały zarówno dla samej zasady, jak i z tego powodu, że nikt z ciała profesorskiego łącznie z dyrektorem nie znalazł się na historii sztuki. Skrzydlaty amurek, którego rączka, świecą białym przekrojem, leżała teraz na biurku podobna do anatomicznego preparatu, wyróżniał się wdziękiem i nagaścią. Inne posągi, przedstawiające prawdopodobnie muzy, były ubrane i otyłe. Dyrektor skrycie nie znosił posągów. Przypuszczał, że są stare, a więc piękne, tymczasem wydawały mu się pasudne, więc miał pretensje do siebie za brak kultury i poczucia piękna.

Wziął do ręki pulchną łapkę i z udanym oburzeniem pokijał głową. Oczywiście trzeba karać. Starego Jakuba za „perfidne podkopywanie świadomości klasowej młodym elementem”, a młode elementy za brak szacunku dla sztuki i kultury. Dyrektor westchnął. Stary Jakub był siwy, siwiuteńki, miał twarz szarą i martwą, jak kamienne posągi w parku i podobnie jak one należał do rekwizytów, pozostawionych tutaj przez obumarłą formację. Był jak muszla, znaleziona na brzegu rano, po odpływie. Kiedy muszle przyłożył do ucha, huczy w niej echo głębin, które ją ukształtowały.

— Onych trza pilnować — powtarza z zimną pogardą stary Jakub głosem głuchym i bezbarwnym jak szum morskich fal, uwieczony we wnętrzu małej odrzuconej przy odpływie muszki.

Ony byli kościastymi chłopcami i miesistymi dziewczynami, dla których każdy dzień pobytu w pałacu był rozwianiem legendy, jaka leżała cieniem na ich dzieciństwie.

— On nas demoralizuje — skarżyli się twardymi głosami. Walka klas była ich katechizmem, ich poezją oraz przygodą młodości.

Dyrektor włożył w ręce ramie Amorka. „Nie nadaje się do rządzenia” — pomyślał. Przyjrzał się z niechęcią kamiennemu łokutowi. Najchętniej wyrzuciłby go za okno, a jego właścicielka własnoręcznie do reszty rozłupał.

— Ach — westchnął — gdybyż rewolucja polegała na rozbijaniu posągów!

Kiedyś, kiedyś nieomal tak właśnie sobie ją wyobrażał. Był wtedy młodym chłopcem. Kochał lud, a nienawidził bogaczy, więc wszystko wydawało mu się szalenie proste. Zniszczyć świat bogaczy, zbudować świat ludu. Nie przyjmował do wiadomości niczego, co nie miało bezpośredniego związku z rewolucją. Pogardzał filozofią, która nie była jednocześnie strategią walki. Naigrawał się ze sztuki, która nie porywała do burzenia pałaców i kościołów. Była to ich sztuka, ich filozofia. Precz z nią! Uważałby za hańbę dla rewolucjonisty przejmować się tymi samymi jej urokami, które budziły zachwyt bogatych pięknochodów. Walka klas oto najpiękniejsza sztuka i najprawdziwsza filozofia.

Z klasyfikacją ludzi także nie miał wtedy kłopotów. Pójdiesz z nami na pałac i kościoły? Będzieś burzył posągi i palił obrazy? Potrafisz pluć ołowiem prosto w ślepią bruchaczy? Wiesz jesteś nasz. Masz opory? Masz jakieś „ale”? „Głędzisz o tradycjach”, puszczanie, humanizm i innych tam takich burżuazyjnych dyrdymałkach — jesteś kontra, należysz do ich świata i trzeba cię zniszczyć, abyś władzy ludowej nie stał na przeszkodzie.

Ale w miarę upływu lat towarzyszył Madej przekonany, że przeciwstawne prawdy o ludzkich sprawach towarzyszą sobie jak światło i cień.

I choć czasem napadała nań tęsknota za owym dwudziestoletnim rewolucjonistą, dla którego świat był tak prosty i łatwy do uporządkowania, choć marzył czasem o tym, aby ubrać się w zieloną koszulę, na szyi zawiesić czerwony krawat, i od jakiegoś starego dyrektora domagać się rozdzielania ciemności od światła, dobra od zła, prawdy od kłamstwa — tępił w sobie te

ślabości, a do głosu dopuszczał tylko sprawiedliwą pobłażliwość władzy.

Wciąż i teraz pokręcił głową z zakłopotaniem i ostrożnie położył kamienną rączkę na biurku pomnąc, że zabytli także trzeba szanować.

II.

NIEBAWEM przyszedł ciepły, deszczowy czerwiec. Zielony gąszcz kasztanów za oknem zakwitł stożkowatymi kwiatami. Bojowy aktyw razem z elementami chwiejnymi zasiadł do zdawania egzaminów, a niebawem ze świadectwami w kieszeniach i walizkami w rękach opuścił kłenczkowski pałac hałasując radośnie. Wakacje! Wszystko to uwolniło dyrektora Madeja od nieprzyjemnej i kłopotliwej decyzji.

Żegnając się z aktywem, spuścił oczy, jak uczniak, który wie, że oszukał pedagoga. Ale aktywowi spieszyło się do domu niemniej niż elementom chwiejnym, wobec czego autorytet dyrektora nie został na szwank narażony.

Pałac opustoszał. Wyjechali także nauczyciele, po nich pracownicy administracji, został tylko dyrektor, załoga kuchni, folwarku oraz Jakub — ogrodnik i stróż w jednej osobie.

Dyrektor postanowił na razie nie wyjeżdżać. Przede wszystkim nie miał do kogo. Nie założył rodziny — żył na to zbyt niespokojnie. Nie zabiegał o przyjaciół — był na to zbyt pryncypialny. Nie szukał przyjemności i wypoczynku — był na to już zbyt zmęczony.

A ponadto, gdy został w pałacu sam bez kolegów-nauczycieli, bez młodzieży, bez ludzi, z którymi gromadził się na zebraniach partyjne, i bez tych poważnych chłopców, stanowiących wypróbowany aktyw szkolny, poczuł jakiś niepokój. Przemierzał puste, wysokie pokoje, przyglądał się pocerniałym portretom, dotykał starych waz, przysiadł na wygodnych meblach, opierając głowę o miękkie wyszycione podłokietniki poprzednich mieszkańców pałacu.

Krażył po cichym parku. Zaczął zaraz zauważać rzeczy, które uchodziły zupełnie jego uwadze w ciągu roku szkolnego, kiedy pełno tu było krzyku i ruchu. Oto zarosła trawą kort tenisowy. A oto pod wybujałym chwastem ślad klombu. Oto na pół rozebrana altanka, a oto złamana ławka, na której oparcu widnieją znów jakieś napisy, daty i koszlawe, głęboko nożem wryte, a zatarte już rysunki.

I wydawało mu się, że z tych starych mebli, zachwaszczonych klombów, połamanych ławek wypelza stare, uśpione życie. Korzysta z nieobecności młodzieży, zaczyna się panoszyć i perfidnie zagraża porządkowi ustanowionemu tutaj przez ludową władzę.

Po ścieżkach snuł się wyniosły, pochmurny Jakub. Dyrektor unikał go. Dosłownie krył się za krzewami i pniami drzew, aby go tylko nie spotkać. Wyłaził potem wszędzie na siebie i kroczył mocnymi krokami starając się widzieć w parku ślady tylko nowego życia: trawnik wydeptany przez młodych piłkarzy, nowe słupki do siatkówki, że zwisającymi jeszcze skrawkami sznurków, zwęglony krąg pozostały po jakimś ognisku, wydeptany plac apelow i gimnastyki z białoczerwonym masłem pośrodku, na który wciągano codziennie państwową chorągiew.

Ale ilekroć pomyślał o wyjeździe, odczuwał jakby lek. Tkwiło jakieś niejasne przekonanie, że gdyby i on wyjechał, gdyby na straży pałacu pozostał tylko Jakub, wówczas, wówczas... Co? — złożyć się na siebie — wstana duchy? Cienie panienek i paników zagrają w tenisa na zarosłym trawą korcie? Cienie starych hrabin zasiadą na drzemkę w fotelach i przylepią głowy do owych wyszycionych miejsc? Cienie dziadziów i dziadzierek pić będą kawę w rozwalonej altance? Cienie łodek wypłyną na zamuloną sadzawkę?

A jednak nie mógł się zdobyć na wyjazd.

Któregoś dnia, gdy stał przed Amorkiem, przyglądając się uważnie jego uplanej rączce, pomyślał za sobą szelest kroków. Obejrzał się: ścieżką kroczył Jakub — w swym starym mundurze z herbowymi guzikami, w okragłej czapce z okutym daszkiem, z trzcinka w ręku. Dyrektor niespokojnie przestał z nogi na nogę — pomyślał, że wszedł właściwie na trawnik, a po trawniku chyba chodzić nie wolno. — Oglądam przecież Amorka — przygotował sobie odpowiedź, ale zaraz przypomniał sobie: Amorka utupanego piłką. Amorka, o którego rączkę nie wszczęłem należytego dochodzenia. Patrzył na zbliżającego się Jakuba dziwnie spłoszonym wzrokiem czując w sercu taką samą obawę jak wtedy, gdy ścisnął ręce aktywu, wobec którego czuł się winien za przemilczenie sprawy Jakuba.

Naraz Jakub ujrzał dyrektora. Przystanął, zdjął czapkę i uklonił się nisko.

— No, cóż tam Jakubie — odezwał się wówczas rażno dyrektor i machając laską podszedł do starego.

— A no tak, panie dyrektorzko — odrzekł obojętnie ogrodnik.

— Pogodę mamy.

— A no — przytaknął stróż.

— Młodzież pojechała, cicho teraz, spokój macie, co? — ha, ha — zaśmiał się.

Stary podniósł brwi zagadkowo i przyjął papierosa. Pogrzebał w kieszeni na pierś, wyjął stamtąd cygarniczkę z winiowego drzewa i zapalki. Przełamał papierosa na pół, połówkę schował do kieszeni, drugą osadził starannie w cygarniczce, po czym podał dyrektrowi ogień, osłonięty umiejętnie grubymi palcami, czarnymi od ziemi.

— Piękny park — powiedział dyrektor.

— No — głos ogrodnika zabrzmiał żwawie.

— Tylko trochę smutny — ciągnął dyrektor — czegoś mi tu brak. Nie wiem, czy młodych po prostu, czy może kwiatów.

Ogrodnik wyjął papierosa z zębów, strzepnął popiół na ścieżkę i powiedział patrząc pod nogi:

— Były.

— Tak?

— O — wskazał stróż trzcinką ślad klombu pod gęstwiną pokrzyw i łożysk. — Tu były róże. I tam — trzcinka wymierzyła w posągi wokół których, rzeczywiście, dało się zauważyć zatarte kontury gazonów.

— Tam była pergola — mówił dalej idąc z trzcinką wysuniętą przed siebie. Wzdłuż tej ścieżki nagietki — z jednej i drugiej strony. — Tu begonie — bo cień od lip i ziemia mokra. Próbowali my piwonii, próbowali my niezapomnianki, nie nie szło, tylko begonie.

Zatrzymał się i uśmiechnął.

— Każda ziemia już wie co ma mieć. I każdy kwiat tak samo. A my tu chcieli niezapomnianki, aż do samej sadzawki.

Stanął nad sadzawką. Szklista, zarosła rzęsa woda ukazywała bliskie, muliste dno.

— Tu były menufary, ale potem jasnie pan łódki kupił i się porzywało — teraz w głosie brzmiała pretensja do jasnie pana. Spojrzał z zalem na Madeja. Ten odwrócił wzrok.

Co tu mówić o menufarach, kiedy ani róż, ani pergoli, ani nawet begonii...

Było upalne południe. Nad wodą brzęczały przebijające komary, śmigły ważki i chrobały sennie żaby, wystawiając do słońca trójkątne, zielone łebki. Weszli znów w cień parkowych drzew. Gdzieś blisko odezwała się niewidzialna kukulka — zawołała kilka razy i umilkła. Od strony pół doleciał zapach schnącego siana.

— Sianokosy — powiedział dyrektor.

— No — kiwnął głową Jakub.

— A kiedy w parku będą kosić?

Jakub wzruszył ramionami.

— Dawniej my strzegli maszynką — powiedział.

— Tak — odrzekł dyrektor — maszynką ładnie. Hm, chyba można kupić maszynkę?

— Maszynki są — mruknął Jakub.

— U was?

— No.

— Więc dlaczego nie przystryc? Będzie ładnie.

Jakub znowu wzruszył ramionami.

— Nikt nie kazował. Mnie za jedno. Jak się strzyże, to się strzyże. A jak się kosi, to się kosi. Jak się kazuje, tak się robi.

— No, więc Jakubie — przystanął dyrektor — przygotujcie maszynki, weźcie ludzi...

— Teraz za duża, trzeba najpierw skosić, potem strzyć — mruknął jakby z niechęcią ogrodnik.

— Aha, tak, naturalnie, trzeba najpierw skosić. Tak weźcie ludzi, zaraz jutro kacicie skosić, a potem się przystryżcie...

— Ja i nie mogę kazować. To pan derechtor mógłby kazować.

— Dobrze, przysłuchajcie mi jutro kogo tam uważacie i ja im każę. Będzie zaraz inaczej, prawda Jakubie, park odżyje? A potem zrobimy klomby — trzeba pomyśleć o kwiatkach. Park jest smutny, kwiatów w nim brakuje. Prawda Jakubie? Tujat jakże kwiatów. Pomyślcie — mówię z podziwem patrząc, jak łagodnie oczy Jakuba, jak coraz częściej zwraca twarz ku niemu, a nawet jak zaczyna przytakiwać i wtrącać do słów dyrektora swoje pomysły.

— Młodzież zaraz inaczej się będzie czuła. Nauczmy ją pielęgnować kwiaty. I nikt nie będzie mógł powiedzieć, że dawniej było tu ładnie. Teraz powinno być jeszcze ładniej, tak ładnie, jak nie było tu nigdy.

— Pergolę by trzeba zrobić...

— Naturalnie, pergolę, i ławki naprawić, i altankę odbudować.

— Na altanie było dzikie wino...

— I dzikie wino puścić. A może różę pnącą?

— Tam za ciemno — odparł stanowczo i gniewnie Jakub. — Jakże tam róża?

— Więc nie róża. Oczywiście, tam jest za ciemno. Tylko dzikie wino, małe słusznosc Jakubie. I sadzawkę oczyścić, puścić na nią menufary, które z pewnością się pięknie rozwiną. Nie będziemy żadnych łodek tam puszcząć. Po co nam łódki, żeby nam się chłopcy

(dokończenie obok)

topili? Znacznie piękniej będzie, gdy puścimy tam menfary, to takie piękne. To takie wielkie talerze z białymi kwiatami, prawda?

— No, no — przytakiwał Jakub. Raz po raz obrzucał dyrektora zdziwionym i nieufnym spojrzeniem, jakby sprawdzał, czy nie drwi, po czym rozglądał się wokół, jakby szukał nowych sposobów ulepszenia parku. A dyrektor wymachiwał rękami; na twarz wystąpiły mu rumieńce — mówił z młodzieńczym zapalem, nie widział przeszkód, nie zastań nawiązał się nad trudnościami, jak dwudziestolatek snujący plan ulepszenia i uporządkowania świata.

Idąc szybko doszli do placu apelowego. Była tu dawniej słoneczna polanka, na której zapewne żączyły się słonecznych kąpieli. I tu z pewnością rozciągał się kiedyś gładki i miękki kobierzec strzyżonej murawy — duma Jakuba. Teraz spód wydeptanej i spalanej słoncem trawy wystąpiła popielista ziemia. Pośrodku sterczał maszt, na którym białoczerwone pasy zdolały już spłowić.

— A tu? — zapytał dyrektor — tu tak brzydko. Czy nie dałoby się tu zrobić czegoś? Może zaorać i trawę zasiać.

— Można — odrzekł Jakub z namysłem.

Potem pomilczał chwilę i zaczął głośno mówić: — Pewnie, ładnie by było, ale o n y przecież mają te swoje musztry... to on y by znów wydeptywał. Więc chyba lepiej będzie tu żużel wysypać, albo piaskiem, a dokoła krawężnik zrobić biały. A pod chorągwią okrągły klomb z kółkiem w środku, żeby on y mogły tę chorągiew wyciągać i spuszczać...

— Tak, tak — wołał zachwycony dyrektor.

— Bo trawę to by on y wydeptywał — dokończył Jakub z głębokim przekonaniem.

III.

NAZAJUTRZ rano zbudziło dyrektora głośnie klepanie kos. Zerwał się i wyrzucił przez okno. Poprzez kasztanowe liście ujrzał jasną plamę kosuli i usłyszał zamaszysty świst kosy, przeczesującej rytmicznie wybujałą trawę. Kiedy wpa- trzył się bliżej, w kosiarzu rozpoznał Jakuba. Zrzucił dzisiaj swoją liberię, odkrył głowę — siwa czupryna spadała mu na spoczone czoło — posuwał się powoli wzdłuż ścieżki, zataczał kosą równe kręgi, chwilami zaś zatrzymywał się i precyzyjnie po fryzjersku docinał jakieś pozostawione za sobą kosmyki.

Tegoż dnia dyrektor znów unikał spotkania z ogrodnikiem. Spacerował po alejkach nie objętych jeszcze kosą, którą w różnych punktach parku rozpoczęło trzech robotników pod okiem i osobistą pomocą starego Jakuba.

A za kilka dni pod oknem dyrektora rozległ się hałaśliwy klekot. Jakub rozzebrany już do pasa prowadził ostrożnie maszynkę, której wirujące szybko noże odrzucały za siebie drobne okruszki zielenizny.

W całym parku panował niepokój. Jakub jak widać nie czekał już na osobisty rozkaz dyrektora, ale sam zaciągnął do roboty z dziesięciu ludzi z foliarką. W jednym końcu parku brzęczały jeszcze ostrzone kosy, w drugim już klekotały maszynki, a gdzie indziej znów dwóch robotników przekopywało stare klomby i rozrzucało po nich obornik.

Dyrektor starał się nie wchodzić w oczy Jakubowi. Zdawało mu się, że sprawi przykrość staremu, gdy go będzie oglądał na tak przemienionym stanie.

Była już połowa lipca. Pogoda wciąż trwała — upalna i spokojna. Po niebie snuły się leniwie obłoki, jaskółki szły wysoko, wieczorami żaby rechotały cicho i sennie. I dyrektor Madej zaprzagnął nagle podróży. Wydało mu się szczytem rozkoszy przemierzać taki spokojny, harmonijny świat. Poczuł zaufanie do przetrzeźni. Był pewny, że na każdym jej kilometrze ujrzy to samo zrównoważone jasne piękno, a w każdym napotkaniu człowieka odnajdzie jakąś miłość, dla której warto żyć.

Postanowił pojechać do Warszawy, odwiedzić dawno niewidzianych towarzyszy, pójść do teatru, posłuchać muzyki, obejrzeć odbudowujące się miasto. A potem? W góry, albo nad morze? Nigdy jeszcze nie był ani w górach, ani nad morzem.

Wyjechał przed wieczorem. Chciał złapać pociąg do Warszawy, który zatrzymywał się koło północy na pobliskiej stacji.

Przed gankiem stała już żółta bryczka, walizki leżały już na koźle — dyrektor obszedł jeszcze raz pałac, rozejrzał się po parku. Z rozkopanych klombów Jakuba wionęło nań zapachem nawozu, spomiędzy parkowych drzew zapachniało siano. Ścieżką szedł Jakub znów w swym mundurze i czapce na głowie z trzciną w ręce.

— Jak robota idzie, Jakubie?

— A no, tak.

— Młodzi nie poznają parku jak przysiad.

W odpowiedzi na to przez ponurą twarz Jakuba przemknął cień uśmiechu. Odwrócił wstydliwie głowę i rzekł:

— Ino jeszcze ten jeich plac trza wywalcować.

ANDRZEJ KIJOWSKI

STANISŁAW BRUCZ

„ZATRZYMAĆ POCIĄG” czyli walka dwóch czasów

POWIEDZIEĆ o sztuce „Zatrzymać pociąg”: dobra sztuka agitacyjna albo dobra publicystyka — to znaczy nie powiedzieć nic. Ostatnio teza ideowo — polityczna leży w sztuce Mac Colla na wierzchu: przeciwstawia NIE maszynę wojenną amerykańskich i europejskich atlantydwów; donośnym TAK pomóc prostym ludziom, masom pracującym Europy, które pragną, żądają i bronią pokoju. Teza szlachetna — nie tylko bowiem przemawia w imieniu prawdy, ale pulsuje krwią historii współczesnej, wyrasta z codziennej praktyki społecznego życia milionów, walczy po naszej stronie w „hałasie i wściekłości” batalii politycznej, toczącej się wokół układów londyńskich i paryskich.

Ale w sztuce sama teza niczego jeszcze nie dowodzi — ani za, ani przeciw. Jeśli nawet założymy, że pisarz zdołał ją wypełnić materiałem realistycznym, że udało mu się odziać jej szkielet w krwistą i prężną muskulaturę dramatyczną, to i wtedy nie jest wcale wykluczone, że możemy otrzymać wprawdzie dobrze napisaną, niemniej jednak sztukę ilustracyjną. Teza bowiem wzięta i spożytkowana w stanie gotowym musi w końcu wyleźć ze sztuki, jak syldo z worka. Anglik Mac

Coll, czego zdaje się nie wiedzieć wielu naszych autorów dramatycznych: mianowicie, że sztuka, jak i poezja, ma trzy wymiary: fabułę, styl i czas. Wiedzieli o tym starożytni, którzy „jedność czasu” uczynili jedną z trzech podstawowych reguł tragedii. Od mniej więcej 150 lat wymiar czasu nabiera coraz większej wagi, stając się niezbędnym wymiarem, warunkiem gęstości dzieła literackiego. Pozbawione tego wymiaru, dzieło staje się dwuwymiarowe czyli schematyczne. Sądzę, że sekret niepowodzenia wielu naszych powieści i sztuk minionego dziesięciolecia tkwi w braku własnej struktury czasowej. Pisarze nasi, w obawie (napędzonej przez krytyków) przed „sztuczkami z czasem”, poprzestawali i nadal poprzestają na jedynie jakoby dopuszczalnej, bo rzekomo realistycznej — koncepcji czasu obiektywnego, chronologicznego i kalendarzowego. A ponieważ wpływ jego jest bezosobowy, automatyczny i niedostrzegalny, dzieje się tak, że pomimo jego oznak zewnętrznych (daty i wydarzenia historyczne) czas w naszych utworach współczesnych nie istnieje jako budulec pisarski traktowany na równi z językiem i kompozycją faktów. Oto, moim zdaniem, jedna z przy-

atomy ludzkie, konwulsja dziejów wtrącone do wnętrza wojennego pociągu, infrahistoryczne drobiny o prymitywnej świadomości, ograniczonej do sztamowych myśli i biologicznych doznań. Nawet inżynier Maclean, specjalista od budowy lotnisk, zwerbowany do amerykańskiej bazy wojskowej, jest pierwotniakiem o ubogiej i jakże często wśród inteligencji zachodu spotykanej mentalności fachowego minimalisty. Postacią a part jest czeski pisarz Paweł Lorenz, renegat, który w ślad za Krawczyką, Georgiu i Młoszem „wybiera wolność” pod batutą dolara. Ale bezrobotny Włoch Goriano, tułający się po świecie w poszukiwaniu pracy, jego narzeczona Karia Nilsen, ex-pensjonariuszka obozowego domu publicznego, Anna Wójcik, robotnica łódzka, otumaniona propagandą „londyńską” i zagubiona na bezdrożach Europy, Francuz Maillard, ślepiec żyjący już tylko myślą o zemście na hitlerowskim oprawcy, który wypalił mu oczy — wszyscy ci ludzie i nawet Maclean w naszych oczach z atomów, dotąd biernie znoszących historię, przeistaczają się w jej świadomych współtwórców i pilotów. Zatrzymując pociąg stają się walczącym kolektywem o pełnej samowiedzy politycznej, podmiotem dziejów. To oni

kami, Leon Niemczyk pojął, że, jakkolwiek odrażająco należy odmalować Stevensa, trzeba mu przeciw pozostawić wazniętą marzę nadziei: ten ciemny chłopiec z Teksasu nie zasługuje jeszcze na bezapelacyjne potępienie; produkt ogłupiającej cywilizacji comic-sów i coca-cola, ślepe narzędzie w ręku swoich dowódców, durny i gburujący Stevens może przecież w przyszłości dać się oświecić, dać sobie rozświetlić świadomość jakąś ludzką myślą. Dlatego nie mam za złe Niemczykowi, że nie przeczerpnął Stevensa.

Alicja Raciszówna rozegrała swą trudną partię z brawurą i finezją; między tragizmem porażenia śmiercią obozową a rozpaczliwą wolą życia zdolna ta aktorka zamyka bogatą gamę odcieni, gdzie motywy dominującym jest moralna czystość nie zbrukana błotem czasów pogardy. Rolę Włocha Goriano gra młody i ambitny aktor Władysław Bielny; otóż w pierwszym akcie Bielny jest zupełnie nieopanowany (może z winy reżysera), za to w ostatnim, w momentach, kiedy aktor ma więcej do powiedzenia niż reżyser, Goriano staje się prawdziwym włoskim robotnikiem — impulsywnym i zadziornym, mało podatnym na perswazję, ale zaciekle walcącym o prawdę, którą sobie przyswoił. Jeżeli Kazimierz Wichniarz ponad spodziewaną miarę sprostał roli reżenera i budziela sumień, jakim jest komunista Mehning, zawiązka to tyleż własnym zasobom ludzkiego ciepła, co sytuacji, w której autor każe mu mówić i działać. W sztuce Mac Colla nie ma ról epizodycznych, każda jest na swój sposób ważna, dlatego też należy wymienić i Zbigniewa Jabłońskiego (Maclean), i Zygmunta Zintela (Maillard), i Natalię Szymańską (Anna Wójcik), i Erikę Wosińską (Gerdę Auerbach): wszyscy wywiązali się ze swych zadań w sposób na ogół dobrze zestrojony z ogólną tonacją spektaklu.

Poważne zastrzeżenia budzi małżeńską para Lorenzów, para niedobrana w sensie aktorskim, a to z winy, jak sądzę, nie tyle Adama Daniewicza i Haliny Billing, ile reżysera. Para, o której mowa, reprezentuje problem polityczny i konflikt moralny. Wprawdzie w sztuce Mac Colla problem ten i konflikt stanowią wątek podporządkowany generalnej sprawie wojny i pokoju, niemniej jest to wątek istotny, który domagał się solidnego przemyslenia. Paweł Lorenz ukazuje się na scenie w chwili, kiedy dopiero co zdradził swój naród; jest to człowiek o nieszczęsnym sumieniu, mieczakowaty intelektualista targany niepokojem i niepewnością, u kresu nerwów. Tymczasem Daniewicz zachowuje się jak biurokrata, który referuje swój casus z nadętą urazą dygnitarza, skreślonego z listy awansów. Katarzyna Lorenz to kobieta dużego formatu o intensywnie osobowości, znacznie górująca nad mężem zaletami umysłu i charakteru. Rola ta winna być wygrana na całej klawiaturze godności ludzkiej, z nieodpartą mocą i trzeźwym ferworem. Tymczasem Billinżanka z chwilą wykrycia zdrady męża popada w ton patetycznej mieszki, rozdającej morały i pouczenia. Stąd wrażenie, że ani Lorenz, ani później Maclean nie biorą jej na serio, choć i jeden i drugi powinni być, mimo wykretów i docinków, mocno przejęci argumentacją Katarzyny. Jeśli mimo to jej zdania zachowują ciężar gatunkowy i siłę wyrazu, dzieje się tak niezależnie od aktorki, dzięki przenikającej je atmosferze pociągu. Mamy tu do czynienia z błędami obsadowymi, bo przecież Daniewicz i Billinżanka to zdolni i doświadczeni aktorzy.

Wreszcie zupełnie niepotrzebny wydaje mi się dochodzący spoza sceny komentarz „głosu ostrzegawczego”: traci bowiem niedobór literatury i wyjaśnia to, co nie wymaga żadnych wyjaśnień, co jasno wynika z działań scenicznych.

Sztuki Mac Colla, sztuki rozmyślnie agitacyjnej, słuchałem z zapartym tchem, podobnie jak cała widownia. Okazuje się, że dobra sztuka może przekonywać ludzi już przekonanych z taką samą siłą, z jaką przekonywa ludzi jeszcze nie przekonanych, dla których przede wszystkim została napisana. Czemu to zawdzięcza?

Wśród wielu mitów, pokutujących jeszcze w naszym życiu, mit talentu ma najtwardszy żywot. Ze talent, odczyniony z uroków irracjonalizmu i intuicyjnej magii, jest po prostu wyższą formą inteligencji, inteligencją do drugiej potęgi, dowodzi tego Evan Mac Coll, pisarz nie tyle utalentowany, co inteligentny. Oczywiście, czynnikiem niezmiernie ważnym jest umiowanie idei, której się broni. Ale czyż to nie inteligencja właśnie każe miłować ideę, którą uważa za słuszną. Proponuję zatem ogłosić w naszych sekcjach twórczych: inteligencja pilnie poszukiwana.

STANISŁAW BRUCZ

ŁÓDŹ LITERACKA

9



Państwowy Teatr Powszechny. — „Zatrzymać pociąg” — sztuka w trzech aktach Evana Mac Colla. Reżyser: Roman Sykała; scenograf: Aleksander Jędrzejewski. Scena z trzeciego aktu.

Coll, pisarz inteligentny i postępowy (jedno warunku drugie), dojrzał to niebezpieczeństwo i szczęśliwie je wyminął. „Zatrzymać pociąg” nie jest arcydziełem, stanowi jednak fenomen osobliwy: będąc „pièce à thèse” — nie jest sztuką ilustracyjną, lecz dziełem literackim w pełnym znaczeniu słowa. Jak to się stało? Sprawa warta zastanowienia, dotyka bowiem istotnych problemów dramaturgii współczesnej, nie tylko naszej.

Na pierwszy rzut oka — nic szczególnego. Widzimy, że Mac Coll zastosował starą konwencję fabularną, która nakazuje skupić w niebezpiecznym miejscu i w groźnej sytuacji — w kajuacie okrętu miotanej burzą, w pałacu otoczonym dżumą, w pociągu pędzącym ku przeczucianej katastrofie — kilka lub kilkanaście osób i wypróbować je odczynnikami strachu, egoizmu, samozaparcia czy też hedonistycznej desperacji („bawmy się, kto wie czy dożyjemy jutra”). Następnie, autor, przeznaczając swą sztukę przede wszystkim dla masowej widowni angielskiej, świadomie użył chwytów, do których widownię to przyzwyczaił popularny w teatrze anglosaskim gatunek zwany „thriller” czyli szarpająca nerwy „niesamowitka”. Są one widoczne w samym pomysle pędzącego ku zagładzie pociągu, w scenach rozgrywających się między byłym komendantem niemieckiego obozu śmierci, hitlerowcem Eckertem, a byłą jego więźniarką i kochanką Karin, między amerykańskim żołnierzem Stevensem, a młodą Austriaczką Gerdą i wreszcie w końcowych scenach sztuki. Ale pociąg jest przecież członem metafory, niosącej wyrażną treść polityczną: symbolizuje zmierzającą ku wojnie maszynę polityki imperialistycznej; ale owe sceny z „thrillera” ewokują konkretne dzieje Europy wojennej i powojennej, nabierając tym samym dosadnej wymowy politycznej. Słowem, Mac Coll zaprzęgił w służbę swej tezy atrakcje sztuki bulwarowo-sensacyjnej: utwór jego nie na tym nie stracił, odwrotnie zaś — owe atrakcje zyskały rangę narzędzi realizmu.

Ale to jeszcze nie wszystko. Mac Coll sięgnął dalej i głębiej. Jego teza ideologiczna nie leży u podstaw sztuki jako jej bierna podpora, lecz krąży w niej przetopiona na tworzywo literackie. Jak widać, angielski pisarz wie-

czyn sprawczych schematyzmu, jeśli rozpatrywać schematyzm jako schorzenie faktury literackiej.

Sztuka Mac Colla ma dwa przeciwbieżne czasy: obiektywny, mechaniczny czas pociągu, skandowany maszynowym rytmem parowozu, turkotu kół i wibracji wagonów — oraz subiektywny, psychologiczny czas pasażerów, skandowany rytmem konfliktów międzyludzkich, dialogów, ruchów i odruchów. Każdy z tych czasów jest dwuznaczny. Pociąg pędzący przed siebie symbolizuje w istocie czas wsteczny biegnący ślepyim torem, czas antyhistoryczny i negatywny, bo wszystko co zmierza ku wojnie jest wsteczne, niezgodne z nurtem procesu historycznego. Wewnętrzny czas pasażerów, którzy chcą pociąg zatrzymać i cofnąć, to w rzeczywistości czas postępu, zbliżony z procesem historycznym. Napiecie między dwoma sprzecznymi czasami sztuki stanowi jej dialektykę dramatyczną, która determinuje konflikty toczące się na przednim planie sceny. Owo napiecie dynamizuje akcję, nasyca każdą kwestię, sprawą, je agitacyjne wywody szlachetnej Angielki Katarzyny Lorenz i dyskurs ideologiczny komunisty Mehninga nasycają dramatyczną krwią, tętnią siłą perswazji, grają w potrójnym sensie tego słowa: aktorskim, kompozycyjnym i intelektualnym. Wreszcie owo napiecie wytwarza swoiste trwanie sceniczne, które udzielając się widowni decyduje o stopniu jej zaangażowania w to, co się dzieje po drugiej stronie rampy.

Mac Coll twórczo zrekonstruował swoją tezę. NIE rzucane poczynaniem imperialistycznych agresorów zamienia się w jego sztuce w czas negatywny albo konkretniej mówiąc w metaforyczny pociąg czasu, którego bieg ku wojnie jest rytmizowany złowieszcym, nieludzkim turkotem kół i wstrząsami parowozu; TAK rzucane obrońcom pokoju, demokratycznym masom Europy, przekształca się w czas pozytywny, subiektywny czas świadomości garstki pasażerów, co chcą zatrzymać pociąg i uniemożliwić jego kierowców. Dialektyka czasu w dramacie Mac Colla ucieleśnia niejako dialektykę historii bieżącej.

Kondensacja czasu w atmosferze pociągu przyspiesza wewnętrzną przemianę podróży. Kim są ci ludzie? Z wyjątkiem wysoko uświadomionych Mehninga i Katarzyny Lorenz, są to

odetną drogę do wojny Eckertom i ich amerykańskim mocodawcom.

Zapewne, Mac Coll chwilami upraszcza i naciąga. Są to jednak uproszczenia i naciągnięcia nieuniknione w sztuce, która musi tu i ówdzie już to pogrubiać, już to zacierać kontury. W sumie „Zatrzymać pociąg” jest, politycznie rzecz biorąc, celnym pociskiem, literacko zaś — dobrą robotą, produktem skrzyżowania pasji ideowej z inteligencją pisarską pomnożoną przez dokładną znajomość arkanów sceny.

* * *

Jest prawdziwą przyjemnością móc pochwalic Teatr Powszechny po jego niedawnych potknięciach i półsukcesach. Polska prapremiera sztuki Mac Colla jest sukcesem całkowitym i bezspornym. Zasluga teatru jest podwójna: zasiała w broń naszą walkę o pokój, dostarcza dowodu na to, że można napisać dobrą sztukę polityczną nie sprzeniewierając się dobrej literaturze. Roman Sykała niewątpliwie wzbogacił szupłą kadre reżyserów łódzkich o indywidualność wyposażoną w temperament, wiedzę i poczucie rzeczywistości scenicznej. Słuszne wydaje mi się ujęcie sceny w eliptyczną ramę, co podkreśla skrótowną umowność akcji i zarazem wyodrębnia dzieje pociągu w symboliczny mikrokosmos. Wewnątrz tej ramy nie można się było obyć bez tego, czego wymaga sama natura sztuki: ruchowo-akustycznej maszynierii złudzeniowej. Jednakże w tym zakresie reżyser i scenograf (Aleksander Jędrzejewski) potrafili nie wyjść poza granice konieczności. Zadanie zostało rozwiązane bez zarzutu. Nade wszystko Sykała zrozumiał, że „Zatrzymać pociąg” jest w znacznej mierze studium atmosfery, postaral się zatem otoczyć podróżnych katastroficzną aurą trwogi, tchnieniem spiętrzonego czasu. Udało mu się to również w akcie pierwszym, gdzie przecinany sygnałami półmrok i dymna szarość doskonale oddają atmosferę dworca.

Nierówno rozłożył Sykała akcenty w aktorskiej partii przedstawienia. Najlepiej wypadli, niestety, najbardziej antypatyczne postaci: komendant pociągu, hitlerowiec Eckert, i amerykański Ekerta Eugeniusz Stawowski potwierdza to, czegośmy się domyślali od dawna: że jest wytrawnym aktorem, całkowicie panującym nad swoimi środ-

NIE wątpię, że kierownictwo Teatru im. Jaracza wprowadzając do swego repertuaru „Winnice ojca Gaureau” zdawało sobie sprawę z niedostatków tej sztuki. Sądzę, że i Konrad Łaszewski, reżyser przedstawienia, wiedział, iż wypadnie mu realizować utwór w znacznym stopniu obciążony skazami schematyzmu. Powiadam „w znacznym stopniu”, gdyż wbrew starym obyczajom schematystów Wirski zamiast niezłomnego komunisty wysuwa na czoło walki z imperializmem właściciela największej w departamencie winnicy. Mam co prawda wątpliwości, czy takie postawienie sprawy należy do osiągnięć autora, na pewno jednak oznacza ono zerwanie z utartymi wzorami tworzenia pozytywnego bohatera. Jeśli natomiast chodzi o rysunek postaci scenicznych, Wirski na ogół pozostaje wierny tradycjom uproszczonej sylwetki mówiącej gestem od ideowo-politycznych deklaracji językiem. Jeśli porzuci te tradycje, to na rzecz takiego skomplikowania postaci, że się w niej połapać nie można — o czym jeszcze będzie mowa.

„Winnice ojca Gaureau” zdradzają także, że autor nie dowierza inteligencji i domysłowości widza: fakt ten ujawnia metoda dobitnego wykładania kawy na ławę, często przez autora stosowana. Liczne komentarze na temat znanych już widzowi faktów, wypowiedziane przez postaci sceniczne, częste charakteryzowanie postaci scenicznych przez inne osoby działające — to wszystko napędza widza aż po dziurki w nosie wiedzą o sprawach i ludziach sztuki i sprawi, że zaciekawienie rozwojem akcji scenicznej szybko gaśnie.

Nie można, oczywiście, oczekiwać, że z takiego materiału dramatycznego powstanie pasjonujące i tętniące życiem przedstawienie. Wydaje się jednak, że właśnie ze strony teatru mogły i powinny być pojawić się propozycje zmierzające do rozwinięcia i wzbogacenia sztuki. Warto było — na przykład — pokazać, że ojciec Gaureau walczy o zachowanie swych winnic nie tylko z pobudek patriotycznych, ale także dlatego, że chce zachować majątek. Prawdziwy i ciekawy byłby wówczas ten posiadacz, sytuacją własną i kraju zmuszony do współdziałania z komunistami. Feliks Żukowski mógłby wówczas rozwinąć stworzoną przez siebie dość monotonną sylwetkę impetycznego staruszka. Przede wszystkim jednak takie potraktowanie postaci Gaureau zabezpieczyłoby widza przed mniemaniem, że to właśnie obszarnik Gaureau jest motoryczną siłą walki z amerykańskim imperializmem i przyciąga do niej chłopów i robotników.

Można było — następnie — zaakcentować kabotyństwo postaci Piotra Legrand, pokazać, jak patriotyczne deklamatorstwo tego kupca zjawia się wówczas, gdy jego sytuacja materialna pozwala mu nie liczyć się z amerykańskim narzeczonym córki. Stanisław Winczewski mógłby nam pokazać w tej roli wahania burżuazji spekulującego, po której stronie barykady należy stanąć, a nie tylko mało przekonujące rozterki ojca zaniepokojonego o szczęście córki. O ile prawdziwszy byłby wówczas ten człowiek, który początkowo narzuca córce niekochanego narzeczonego, a potem — gdy sprawa małżeństwa przestaje go obchodzić — doszukuje się w szczerym odruchu dziewczęcego serca tradycji Joanny d'Arc walczącej o honor Francji. Gdyby elementy te, tkwiące zresztą w materii sztuki, zostały wydobyte i podkreślone, widziałbyśmy na scenie ciekawą i zróżnicowaną galerię postaci tworzących obóz Francji walczącej. Niestety, w realizacji zwyciężyło widoczne przesławienie, że każdy Francuz występujący przeciw amerykańskiemu imperializmowi powoduje się li tylko płomiennym uczuciem patriotyzmu. Wiadomo, że jest to przeświadczenie błędne.

Warto było by także przedyskutować z autorem sprawę zakończenia sztuki głębiej, niż o tym świadczy realizacja. Lekka modyfikacja, jakiej podał teatr finalu aktu trzeciego, nie wydaje się dostateczna. Kiedy ojciec Gaureau rzuca nad trupem Claude'a Pajot przekleństwo na imperialistów, moralnych sprawców zbrodni, słowa jego nie wzbudzają w widzu pełnego oddźwięku. Widz wie, że zabójca Pajota — pijany Amerykanin — wyładował w swych strzałach przede wszystkim żal i wściekłość

EDWARD SZUSTER

NIEDOJRZAŁ WINOGRONA

z powodu utraty kochanej dziewczyny; widz wie doskonale, że ta bezmyślna zbrodnia została popełniona wbrew intencjom mądrego pułkownika Parkesa, który napewno nie wybaczysz swemu podwładnemu, że strzelał wówczas, gdy jego strzał nie mógł już zapobiec fiaszko amerykańskich planów.

Wydaje się, że twórcy udział teatru w realizacji „Winnic” był niedostateczny, że ograniczał się on do drobnych skrótów oraz do troskliwego realizowania wskazówek zawartych w tekście sztuki.

Stanowiący wobec zadania skrupulatnej realizacji dyrektyw egzemplarza aktorzy niejednokrotnie znaleźli się w kłopotliwej sytuacji. Rezygnacja z rozwinięcia i wzbogacenia postaci ojca Gaureau i Piotra Legrand we wspomnianym już wyżej sensie sprawiła, że jedynie pięciu wykonawców stanęło wobec ciekawszych zadań aktorskich!

Najszersze pole do twórczej pracy znaleźli Władysław Walter i Roman Stankiewicz; przypadły im w udziale najpełniejsze i najbardziej ludzkie, choć drugoplanowe role proboszcza Percier i generała Gouteau. Obie te postaci reprezentują ludzi tytułem i urzędem związanych ze „sferami oficjalnymi” Francji, lecz widzących coraz jaśniej, że sfery te działają wbrew interesom narodu. Władysław Walter dał wzruszającą szczerością przeżycia sylwetkę bezradnego i zakłopotanego proboszcza, który wreszcie machnie ręką na zlecenia hierarchii kościelnej i stanie po stronie ludu. Przekonywująco pokazał trudny konflikt wewnętrzny starego generała Roman Stankiewicz. Te dwie role wyróżniają się niewątpliwie.

Elementy pełniejszej postaci istnieją niewątpliwie i w roli Milo Wint-

horpa, młodego Amerykanina, którego obowiązki służbowe zmuszają do działania na niekorzyść Francji, a miłość do francuskiej dziewczyny zbliża jednocześnie do tego narodu. Zygmunt Niewczas nie zdołał jednak rozwinąć tych możliwości; powiedzmy na jego usprawiedliwienie, że są one dość głęboko ukryte przez autora sztuki. Jedyne wówczas, gdy widz zobaczy, że Winthorp naprawdę kocha Joannę, wiarygodne staną się trudności wewnętrzne, o których Milo tak wiele mówi. Owe miłości, i to miłości pełnej uwielbienia, Niewczas nam nie pokazał. Myślę, że każdy aktor miałby z tym zadaniem kłopot nielada wobec zgoła niejasnego postawienia postaci Joanny przez autora. Na dobrą sprawę trudno nawet zrozumieć, kim właściwie Joanna jest. Początkowo — uległa córka dająca się zareczyć z wskazanym przez ojca człowiekiem i nie widząca, co się na świecie dzieje, potem — dziewczyna głęboko zainteresowana poglądami niekochanego narzeczonego, potem znów — namiętna kombatantka godności i tradycji swego kraju, wreszcie — obserwatorka manifestacji robotników i chłopów. Zaskakujące metamorfozy Joanny dezorientują, czynią jej postać wręcz mętłą, a w rezultacie znakomicie utrudniają wiarę w miłość, jaką oddaje Joanna Milo za jakieś niezwykłe, szlachetne cechy duchowe. Utalentowana i pełna wdzięku, Urszula Modrzyńska nie była w stanie postawić tej postaci na ziemi, tchnąć w nią nieco prawdziwego życia.

Konrad Łaszewski powinien chyba pokazać więcej elastyczności i inteligencji Parkesa, tego niewątpliwie niebezpiecznego wykonawcy planów imperialistów amerykańskich. Parkes Łaszewskiego wydaje się przeciągnięty

w tonacji demonicznie-groźnej; nawet w rozmowie z Sophie pozostaje niebezpiecznym agentem Pentagonu i F. B. I. Sophie twierdzi, co prawda, że pułkownik jest zawsze groźny; wypowiedzi takiej idiotki nie trzeba jednak brać koniecznie za dobrą monetę, a rozluźnienie napięcia wewnętrznego Parkesa ożywiłoby tę postać, która nawet na fortepianie gra czujnie i bacznie.

Pozostali wykonawcy sztuki nie mieli wziętych zadań. Mówiłem już o wątpliwościach, jakie budzi we mnie nie tyle aktorska, co reżyserska i autorska koncepcja ról Gaureau i Legrand. W ramach owej koncepcji Feliks Żukowski i Stanisław Winczewski starali się spełnić swe zadania: pierwszy wzbogacał wątpliwość postaci głosem i brodą, drugi — nerwową ruchliwością. Edmund Fetting robił co mógł, aby przekonać widza o istnieniu człowieka, który zapewnił otoczenie o słuszności swej postawy, a sam, na własny wewnętrzny rachunek, uważa się za lajdaka. Ja osobiście nie wierzę w istnienie takich fenomenów i nie mam żalu do aktora za to, że mnie nie przekonał. Krystyna Łapińska miała za zadanie pokazać widzowi idiotkę Sophie; myślę, że zrobiła to nader przekonująco, choć nie bardzo jestem pewien, czy w ogóle Sophie jest w sztuce potrzebna. Wiem natomiast, że postać Anny Legrand istnieje tylko po to, aby Piotr Legrand miał z kim rozmawiać, a Claude Pajot z kolei potrzebny jest do roli trupa w zakończeniu sztuki. Przy takim doniosłym udziale w rozwoju akcji postacie te rychło giną w zapomnieniu; Lenę Wilczyńską i Zbigniewa Józefowicza przypomnieli mi dopiero program. Podobny, niestety, los spotyka pozostałych dziesięciu wykonawców sztuki.

EDWARD SZUSTER

JAN HUSZCZA

Teatr bez koncepcji

cie tekstów. Zresztą, łatwo o argumenty: drugi program pt. „Wycieczki osobiste” (tytuł nadano w myśl powiedzenia „ni przypiął, ni przylał”) opierał się przede wszystkim na tekstach — niekiedy, oczywiście, doskonałych — pokazów. Program „nie chwycił”. Teatr musiał ratować się gościnnymi występami, peregrinacją po różnych miastach Polski.

Wypada tu zarzucić kierownictwu swoiste rutyniarstwo, tendencję ślepego orientowania się na „pewniaki” autorskie i aktorskie, które nie zawsze dają dobre rezultaty. Można byłoby w międzyczasie zajrzeć do świetlik, przyrządzić zespół amatorów, postawić na kogoś, kto dotąd nie ma jeszcze żadnej legitymacji, co szczególnie, jak się zdaje, mogłoby się udać w wypadku tańca (bowiem Józefa Matuszewskiego nie zawsze chyba da się zwerbować?)...

Poszerzenie kadr — to także obowiązkowa sfera działalności również i teatrów.

Trzeci program „Teatru satyryków” pod tytułem „Mamy gości”, był najsłabszy i miejscami tracił, używam tego słowa z całą świadomością, skandalem! Niektóre pozycje pod względem realizacji autorskiej i aktorskiej budziły niesmak, zażenowanie.

Choć na pewno nie leżało to w zamiarach kierownictwa — jednak faktycznie program apelował do kółtuna, w dodatku najmniej wybrednego.

I oto zjawisko jakże pocieszające: scena „miała gości”, a widownia po upływie krótkiego stosunkowo czasu gości nie miała.

Jakż z tego wniosek: wyrabia w ciągu tych lat swój smak nawet kółtun, nie mówiąc już o widzu przez nas pożądanym. Jeszcze kilka lat temu taki program w istniejącym w Łodzi „Gongu” mógłby mieć i miałby znaczne powodzenie.

Program „Mamy gości” przeszedł przez dwie fazy: musiano go zmieniać, przeinaczać, ulepszać, wprowadzono nowych aktorów.

W Teatrze panowała poza tym tendencja, iż wszystko ma być dla „śmichu”, np. w monologach Wiecha z lubością akcentowano przede wszystkim trywialność. Jest to objaw schematycznego widzenia odbiorcy, który chce śmiać się, śmiać się do rozpuku, ale też i wzruszać się, zamyślać, zastanawiać. Wykonywany przed paru laty przez Darskiego monolog Czechowa „O szkodliwości palenia tytoniu” nie dostarczał właściwie okazji do śmiechu, miał jednak powodzenie.

Teatr nie dał nam ani jednej ostrej, przekonującej satyry politycznej. Był skecz „Hollywood szuka gwiazdy”. Prawdopodobnie w intencjach

kierownictwa Teatru miał on stanowić pozycję ośmieszającą, jeśli nie imperializmu, to przynajmniej amerykańskie stosunki filmowe. Nic z tego nie wyszło, Zofia Jamry bardzo nam się podobała. Daleko było skoczowi do tej ostrości, z jaką pokazano nam w ostatnim spektaklu stosunki filmowe w polskiej wytwórni „Klasy” (Z czego znakomicie wywiązał się Tadeusz Cygler jako „reżyser”, Zbigniew Stokowski jako „operator”...).

„Wspólna droga” (tekst J. Jurandoty) z ostatniego programu stanowił zdecydowany kicz teatralny, choć wyszła spod pióra doświadczonego pisarza.

Zabawna właściwie sytuacja: spektakl „Uwaga, kręcimy!” za cel swego ataku jeszcze raz obrał przejawy schematyzmu w rozmaitych dziedzinach twórczości. Atak ten przeprowadza nierz w sposób dowcipny i jakże plastyczny, jednocześnie zaś na serio proponuje widzowi, aby ten przyjął kicz za dobrą monetę. Przykład na jedną z licznych niekonsekwencji w praktyce Teatru, gdybyś odoobniony: satyrę bytowa reprezentuje kiosk LZG-su (je dnak jest Łódź dzięki tabliczce z tymi inicjałami), w którym zamiast lemoniad można napić się tylko wódki. Czas już na to, żeby jakoś inaczej uwzględnić bytowe bolączki, żeby też sięgać po ważniejsze!

Satyra na schematyzm ciągle powraca na scenę naszego Teatru w różnych wariantach, a niekiedy nawet się powtarza, jak np. w związku ze współczesnymi piosenkami. Często jest zupełnie spóźniona, jak w swoim czasie satyra na brak piosenek w Polskim Radiu, które już wtedy było rozśpiewane chyba aż z pewną nadgorliwością.

Widzę, że przetasowuję przykłady, lekceważąc kolejność premier. Gdybym pisał ściśle tylko recenzję z ostatniego przedstawienia, musiałbym to robić inaczej. Gdybym pisał recenzję, musiałbym — pomimo rozmaitych, nasuwających się zastrzeżeń — powiedzieć wiele komplementów pod adresem reżyserii, aktorskiego wykonania, niekiedy i inscenizacji. Niestety, wypadnie odmówić sobie w zasadzie tej przyjemności, gdyż w polu mojego widzenia znajdują się inne, określone w tytule sprawy, sprawy samej „idei” Teatru.

Jak już wspomniałem, celem ataku ostatniego programu jest schematyzm w różnych przejawach. Jeden z numerów programu nasuwa wątpliwości dość istotne: gdzie się kończy satyra na schematyzm, a gdzie zaczyna się coś zupełnie innego? Słuchając wprowadzenia do monologu „Kwiatki” — byłem zaskoczony. Wynikało ze wszystkich, że dotąd właściwie krzywdzono

Z tego, co napisałem dotychczas, wynika chyba jasno, że nie uważam „Winnic” za sztukę, która w efekcie pozostawi coś trwałszego we wspomnieniach widza. Usterki samego tekstu, zbyt słabo przez teatr korygowane w pracy nad przygotowaniem przedstawienia, sprawiły, że „Winnice” zostawiają widza obojętnym, niezaangażowanym w to, co się na scenie dzieje. Brawa, jakie otrzymuje Walter, mówią nie tylko o popularności tego znakomitego aktora, mówią także o wrażliwości widowni na prawdę ludzkiego przeżycia, którego w sztuce niewiele. Dlatego też nie dociera ze sceny na widownię wzruszająca i pełna spien prawda o walce narodu francuskiego z brutalną penetracją „przyjaciół” zza oceanu. Dzieje się tak, ponieważ właśnie na scenie prawda owa jest blada i anemiczna. Dlatego też nie mogę pojąć, czemu to tak odpowiedzialny recenzent, jakim jest Roman Szydłowski, pisze: „Sztuka Wirskiego spełnia istotne zadanie polityczne”. Zgadza się, że istotnie sztuka „przypomina o sprawach ważnych nie tylko dla Francji, lecz i dla Polski, dla całego świata”, ale czy wystarczy przypomnieć, aby spełnić istotne zadanie polityczne? Nawołujemy się już od dawna do tego, aby wartości utworu artystycznego nie mierzyć dobrymi chęciami twórców. Nie wątpię ani na chwilę w dobre chęci Wirskiego i Teatru im. Jaracza; nie wątpię także, że owe dobre chęci nie zmateriałyzowały się w dobre wydarzenie artystyczne.

Przedstawienie jest w najlepszym wypadku przeciętne, Teatr im. Jaracza na pewno nie zapisze go w swej kronice wybitnych osiągnięć. Myślę, że i Wirski i Teatr nie zasługują na to, by — wbrew rzeczywistości — mówić, iż „spełnili istotne zadanie polityczne”, podczas gdy mamy do czynienia z artystycznym niewypałem.

EDWARD SZUSTER

sanację: śpiący pod mostem bezrobotni, charytatywne kuchnie z wasserzupką — to raczej wymysł schematyzmu od filmu. Ma tedy sanację skompromitować postać uwiedzionej kwaciarki — ale uwiedzenia, do licha, zdarzają się przecież i w naszej rzeczywistości, uwiedzenia i towarzyszące im nawet szantaże (wiem o tym choćby z działu porad „Przyjaciółki!”)... Kwaciarka więc sanacji nie kompromituje, mało tego, z późniejszego komentarza wynika, że jednak kwiaty kosztowały wówczas znacznie taniej i były dostępne w znacznie bogatszym asortymencie (rzekoma satyra na sanację niepostrzeżenie zamienia się w satyrę na... MHD!)

Nawiasem mówiąc, nie wybrano zbyt fortunnie spośród znakomych kabaretowych tekstów Juliana Tuwima, choć znalazłono doskonałą interpretację w osobie J. Andrzejewskiej. Tekst ten swoim kłiwym sentymentalizmem przypomina piosenki sprzed pierwszego wojny światowej:

„Wiatr za szybami śmieje się: Psiakrew, to życie takie złe!”

Ten sam jednak tekst mógłby wywołać doskonałe wrażenie, gdyby go podano w innej sytuacji, np. w retrospektywnym przeglądzie kabaretowych przebojów minionego czasu.

Na dobrą sprawę, numerów wynikających w sposób najoczywistszy z ramowej zasady pokazano nam nie tak wiele: są nimi tańce „Walczmy z chuligaństwem”, „Świt w Kurzych Kopkach” i znakomita, wystawiana już przez inne teatry, „Zielona gęś” K. I. Gałczyńskiego: „Gdyby Adam był Polakiem”... (Gdyby doskonały wykonawcy zachcieli pójść trochę dalej, żeby jeszcze wyraźniej gest, a zwłaszcza głos, zbliżyć do grotesku, co już udało się J. Stempowskiemu).

Są i pozycje, którym ta ramowa zasada zdecydowanie przeszkadza, jak w wypadku Wiesławy Frey, miłej wykonawczyni piosenek.

Mimo to — należy pochwalić kurs na większą widowiskowość! Interesujący spektakl, dobry odwótycy, świetne lub dobre w paru wypadkach teksty — a wychodzi się z Teatru z uczuciem niedosytu, z dodatkowym zapasem argumentów, uzasadniających tytuł tych medytacji.

Oto wracamy myślami do dzieł sprzed pięćdziesięciu lat, do wydarzeń, których echo zostało także w pieśni, piosence i satyrze...

Oto mamy Rok Mickiewiczowski... Wydaje się, że teatr wiersza, piosenki, monologu, żartu i skeczu — łatwo mógłby uwzględnić i te sprawy. Te — i wiele innych, o których mowa była wyżej.

P. S. W najnowszym programie przewidziano, oczywiście, łódzkie autorów i kompozytorów, ale z taką samą „ostrożnością” jak sprawy łódzkie (przy pomocy owej wspomnianej tabliczki z literami „LZG!”).

JAN HUSZCZA

L I S T Y

O t. zw. niechodliwości poezji

P RAGNĘ tu poruszyć sprawę popularyzowania poezji wśród najszerszych mas czytelników. Zaczęło od pytania: czy Związek Literatów nie mógłby zaopiekować się o Dom Książki, aby na stołkach umieszczano także wydawnictwa poetyckie.

Poezję, jako podobno niechodliwą, nie są w ogóle, poza Mickiewiczem — jedynie Pan Tadeusz — oraz Broniewskim — nie często — wynoszone ze składów Domu Książki na światło dzienne. Zadanych innych wydawnictw poetyckich na stołkach z książkami nie widziałem. W księgarniach zaś poezję, że jakoby nie znajdują amatorów, z reguły umieszczane są na jakichś zakazanych półkach, na których trudno je odnaleźć.

W tych warunkach wydaje mi się, że owa osławiona niepokupność poezji ma w dużej mierze swe źródło w niedbałości i lekceważeniu, z jaką wydawnictwa poetyckie traktowane są w naszych księgarniach. Do ich rozpowszechnienia w ogromnej mierze przyczyniłoby się na pewno troskliwa opieka Domu Książki oraz kierowników i personelu poszczególnych księgarni.

Dom Książki z reguły rozdziela wydawnictwa poetyckie niewłaściwie, dając dwóm, trzem księgom po kilkadziesiąt egzemplarzy zbiorów tego samego autora, a kilkadziesiąt pozostałym warszawskim księgarniom nie dając ani jednego egzemplarza! Jeśli ktoś obejrzeli dziesięć księgarń i danego poety nie znajdzie, uzna książkę za wyprzedzoną. Tymczasem została ona zamagazynowana w dwóch, trzech księgarniach, do których czytelnik nie trafił.

Poezję powinny znajdować się także w biblio-

tekach i wypożyczalniach publicznych — gdzie dotychczas bywają unikatami! Aby czytelnikowi książkę udostępnić, trzeba do niego odpowiednio podejść, książkę mu pokazać, aby wiedział, że istnieje. Tymczasem w czytelnich podaje się czytelnikom tylko prozę, poezję nie są w odpowiedniej mierze i we właściwy sposób czytelnikom udostępniane.

Słyszałem w Radzie Książki taką relację z doświadczeń pisarzy czeskich: W jednej z kopalń umieszczono wypożyczalnię książek tuż przy wejściu, tak że wszyscy górnicy i pracownicy kopalni musieli obok niej dwa razy dziennie przechodzić. W drugiej kopalni, w tej samej miejscowości, biblioteka mieści się także tuż przy wejściu, ale, o dwa kroki odległości, w bocznym korytarzu. Nie wpada więc w oczy przechodzącym. Stwierdzono, że w tej bibliotece frekwencja jest nieporównanie mniejsza. Sprawa jest zupełnie prosta: człowiek zmęczony po pracy, nie widząc drzwi biblioteki i umieszczonej obok nich malej wystawki z książkami, zapomina o książce. Podczas gdy mając ją pod ręką, mimowolnie nawet wstąpi — bo inni też weszli, bo może trafi się coś ciekawego, bo książka jest tuż i wystarczy tylko sięgnąć po nią. Kupując książki i wypożyczając ją ci, którym one wychodzą naprzeciw. Jaki stąd wniosek? Że należy robić wszystko, aby książki, a w ich liczbie także wydawnictwa poetyckie, znalazły się na drodze czytelnika nie tylko w czasie, ale i w przestrzeni. Wtedy napewno poezję przestaną być niechodliwe.

JANINA BRZOSTOWSKA

Język — to też kultura

N IKOGO o tym nie trzeba przekonywać, że język jest jednym z przejawów kultury. Nie świadczy o niej dobrze styl tego rodzaju: „Cech cukierników powziął inicjatywę dobrowolnej oszczędności na odcinku gospodarki tłuszczowej; za zdrowa inicjatywa cech cukierników wobec trudności aprowizacyjnych Państwa na odcinku tłuszczowym będzie przyjęta ze zrozumieniem”.

Albo takie wyrażenie: „wyminiowanie z systemu plac stosunków rodzinnych”.

Już w r. 1949 Dziennik Łódzki wskazał na zwyrodnienie naszej mowy powojennej, jaskrawe zwłaszcza w przemówieniach publicznych. Wzywano „czynników odpowiedzialnych za poziom kultury w mieście” do zwołania się tym odwołaniem. Był to jednak głos wołającego na puszczy; coraz częściej natykamy się na chwasty językowe, które mogą się stać groźną dla naszej kultury.

W sklepie włókienniczym Z.S.S. „Włókno” (Piotrkowska nr 131) rzuciła się w oczy ozdoba napisu: „Okazja! Sprzedaż tkanin przecenionych (I); ma to oznaczać: po niższej cenie. Na pocztę głównej, chlubie Łódź, w okienku nr 11, gdzie się załatwia „Instalacje (I) na początek — to nie błąd zecera! głosników”, przyjmując „reklamacje” odnośnie złego odbioru audycji”; tak samo pisze Zakład Mleczarski w ogłoszeniu o przetargu: „blizszych danych odnośnie warunków dostaw”; (zamiast: odnośnie do... a najlepiej: co do...). W nekrologu czytamy, że zmarła tow. Jadwiga... „długoletni pracownik”, jak gdybyśmy nie mieli w zasobach swego języka wyrazu: pracownica. Dłuższy czas otaczał Plac Wolności kołem ogromne podobizny przodków pracy, podpisane najpierw nazwiskiem, z imieniem na drugim miejscu. To samo widzimy dziś w wielu miejscach publicznych. Jedynie przemysł dzielnicy uszanował zwyczaj językowy i podobizny swych wybitnych pracowników, wystawione do niedawna na rogu ul. Sienkiewicza i Tuwima, zapomniał w podpis poprawy. Nawet w takim urzędzie, jak Wydział Oświaty P.R.N., sporządzający napisy na drzwiach nie wiedzą, że imię kładzie się przed nazwiskiem i że tylko w spisie obywateli można odstępować od tego ogólnoeuropejskiego zwyczaju.

Pisma codzienne także mają poczucie językowe czytelników dopuszczając błędy nawet w nagłówkach. W jednym z pism widnieje złożony ogromnymi literami tytuł „Oszczędzamy energię

elektryczną!” (prof. Jodłowski szczegółowo uzasadnił w Poradniku Językowym nr 2. 1951, że trzeba oszczędzać energię); w numerze 266: „Pożyczył mokre prywatnemu piekarzowi” (potrzebny dopełniacz cząstkowy: mąki). W sklepie MHD z artykułami włókienniczymi (Piotrkowska 87) wisi hasło: Oszczędzamy surowce, materiały, energię, paliwo. (zamiast: surowców, materiałów, energii, paliwa). W tym sklepie dyrektorka zawiadająca, że posiada... „szeroki asortyment tkanin po atrakcyjnych cenach”, co ma oznaczać: duży wybór tkanin po przystępnej czy niskiej cenie. Dzienniki umieszczają „prognozę” pogody, choć Polskie Radio podaje „prognozę” pogody, choć Polskie Radio podaje „prognozę” pogody. A ozdobne napisy w barach mlecznych i restauracjach o obiadach „na wynos”, a mleko nie „na wynos”! Ten wyraz nam, Królewskom, mocno przypomina czasy carskiej niewoli; można by wszakże powiedzieć: mleko do domu się nie wydaje. Dlaczego piwo wprowadzono przez bary dano kunsztowną nazwę „podgrzewanego”, skoro z dawną i wernie służy mu krótkie, proste określenie: grzane.

Słowem, co przedsiębiorstwo, to inne błędy. Nawet instytucje, których przeznaczeniem jest promieniowanie kultury, nie wykazują dostatecznej dbałości o język. W programie przedsięwzięcia artystycznych i oświatowych na drugą połowę stycznia wyraz impreza powtarza się 12 razy! „Impreza rozrywkowa dla dzieci” toć to po prostu: rozrywki dla dzieci, ale co znaczy „impreza czytelnicza”, tego i Salomon nie powie.

Jaka na to wszystko rada?

Co ma począć ta czy inna rada zakładowa, chcąc dać nekrolog, lub instytucja społeczna, mająca rozesłać zaproszenia na walne zebranie, jeżeli się wahają w wyborze środków językowych? Otóż powinien istnieć punkt uslugowy do spraw języka, czyli poradnia językowa. Dziennik Łódzki wymieniał już poradnię jako jeden ze środków zaradczych i te „czynniki”, które by mogły sprawę troski o język ruszyć z miejsca. Za pośrednictwem Komisji Kultury dotarł ten wniosek do Wydziału Kultury i oto miłośnicy języka z największą radością wyzwalali. 9. XII. 53 r. w Głosie Robotniczym, że Wydział Kultury ma otworzyć poradnię językową. Jużamy z całej duszy życzyć jej powodzenia, zamiar jednak spoilił na panewce.

Głos Robotniczy (26. IX. 53) także poruszał zagadnienie w języku i nawoływał do urzędzenia odczytów z dziedziny poprawności językowej, do „poradnictwa na ten temat w WDK, w radio i prasie”. Wydział Kulturo-Oświatowy Woj. Rady Zw. Zaw. zaciekał się tym zagadnieniem — na razie tylko platonicznie. Wymieniano również w związku z tą sprawą ZMP, którego Zarząd Główny wyzwał w r. 1952 na walnym zebraniu do pielegnowania pięknego języka ojczystego, języka Mickiewicza i Słowackiego. Jednakże zarząd miejscowy ZMP w osobie wiceprzewodniczącej przyznał, że dla języka nic się nie robi i na tym koniec.

Sprawa kultury języka zasługuje na baczną uwagę. Od instytucji powołanych do zjęcia się tym zagadnieniem trzeba żądać wytłumaczenia, dlaczego zapowiedziane urządzenie poradni językowej nie doszło do skutku i co się robi w celu podźwignięcia języka. O jego znaczeniu tak mówił nasz myśliciel Karol Libelt, którego imieniem nazwano przed paru laty jedną z ulic naszego miasta: „JĘZYK JEST KRWIĄ, OJCZYSTE CIAŁO NARODU OPIYWAJĄCĄ. NAROD ŻYJE, DOPÓKI JĘZYK JEGO ŻYJE; BEZ JĘZYKA NARODOWEGO NIE MA NARODU. UMILUJMYZ TEN JĘZYK, JAKO ŚWIĘTĄ KREW OJCZYSTY”.

MARIA NALEPINSKA

WYJAŚNIENIE

W programie Państwowego Teatru Powszechnego m. Łódź, wydanym z okazji przedstawienia sztuki E. Mac Colla „Zotrzymać pocałunek”, zestawienie, zapewne omyłkowe, wymieniono jako uczestników pracy nad przygotowaniem tego przedstawienia w charakterze kierownika literackiego. Ponieważ w rzeczywistości nie mam żadnych praw występowania w roli współtwórcy tego ciekawego spektaklu, gdyż nie brałem udziału w pracy nad nim — uprzejmie proszę o umieszczenie w „Łodzi Literackiej” niniejszej notki.

Edward Szuster

NIE „ZEMSTA”, LECZ „TAJEMNICA”

W zamieszczanej w poprzednim numerze „Łodzi Literackiej” notatce o zamierzeniach Teatru Muzycznego, znalazł się błąd. Przygotowywana przez Teatr Muzyczny operetka Tadeusza Cyglera i Ciesłowa „Aniakiwici”, nosić będzie tytuł „Tajemnica Dedala”, a nie „Zemsta Dedala”. Błąd ten niniejszym prostujemy.



Rysunki chińskie
Andrzeja Strumiłły

Młody malarz łódzki, Andrzej Strumiłło, przywiózł ze swej kilkutygodniowej podróży po Chinach około 200 świetnych rysunków tuszowych. Osiemdziesiąt prac z tego bogatego planu wystawil ostatnio w Domu Książki i Prasy w Warszawie. Na zakończenie wystawy dnia 12. II. br. urządzono spotkanie artysty z publicznością, połączone z bardzo ciekawą dyskusją. Nie wiadomo, czy dlatego że publiczność warszawska jest bardziej od nas, łódzian, wyrobiona, czy dlatego że przewodniczył prof. Michał Bylina, czy że zebrani zmobilizowali poziom wystawionych prac — doś, że dyskusja zaczęła się niemiernie rozgłasza w sposób niezwykły.

Faktem jest, że zwykła codzienna publiczność nie tylko synęła mnóstwem pytań o chińską podroź, o tematykę wystawionych prac, ale zresztą kierowana przez przewodniczącego przeszła do gwałtownych rozstrząsań zasadniczych. Pytano autora o sposób i technikę wykonania, o wpływ sztuki chińskiej na jego rysunki, o kierunki w chińskim malarstwie, a potem wyrażano zachwyt i stawiano zarzuty. Zmuszono autora do coraz głębszych wyznań, a prof. Bylina prowokowano do wniosków i pięknych sformułowań o modzie i schematach myślenia o sztuce, kulturze i sztuce narodowej.

Co jednak najciekawsze, to fakt, że w dyskusji — jak chyba w żadnej tego typu — ujawniło się wyraźnie, iż w podobnych imprezach artyści oczekują od publiczności opinii o swoich pracach, oczekują postulatów, krytyki, targów i wymysłów, byle płynęły z choćby najbardziej dyktando, ale żarliwego przeżycia dzieła sztuki. Natomiast publiczność w takich spotkaniach z artystami szuka nie okazji do stoczenia dyskusyjnych bitew, bo nie czuje się do nich przygotowana, lecz możliwości zdobycia elementarnej wiedzy o tym, co jest w plastyce dobre, a co jest złe i dlaczego. A nawet na to „dlaczego” nie kładzie nacisku, byle zademonstrować jej przykładowo, o co chodzi w dobrej sztuce.

Ze tak w Warszawie dyskutowano to, nas, owszem, bardzo cieszy, ale jeszcze bardziej byłbyśmy zadowoleni, gdyby dane nam było ująć prace Andrzeja Strumiłły. A właśnie na tym warszawskim zebraniu utalentowany artysta zapowiedział, że swoje prace pokaże i w Łodzi.

MAREK KONONOWICZ

DO REDAKCJI „ŁODZI LITERACKIEJ”

W przedostatnim numerze „Łodzi Literackiej” została zamieszczona recenzja z mojego zbioru opowiadań satyrycznych pt. „Pomoc sąsiadka”, podpisana przez M. O. Recenzja ta zaimepowołała mi swoją śmiałością ostrością formułowania w niej zarzutów. Można powiedzieć, że recenzent wystąpił w niej bez tzw. obłonek i po oddaniu na wstępie autorowi sprawiedliwości w zdaniu „Autor skupia swoje zainteresowania — i to należy do rzędu wartości tej książki — na zjawiskach walki klasowej”, przeszedł do sedna rzeczy i rąbnął na odlew:

„Zasadniczą wadą autorów Chęcińskiego jest to, że ulega on konwencji niebezpiecznej (I) dla twórczości literackiej, konwencji okolicznościowych artykułów dziennikarskich”. A dalej już same pocięte ciętkości: „W tym celu przyznałyśmy stymy, frazeologię, banały, które zagłębiły się w tomiku „Pomoc sąsiadka”.

To się nazywa odwaga na całego. Na te błędne praktyki recenzentki w łódzkiej prasie ocena ta zasługuje na miano wyjątkowej. Bo na ogół w krytyce nie wychodzić poza przyjęte, ugrzeczniony ton. Recenzje pełne są wzajemnych komplementów (vide dołączane n-r-y „Łodzi Literackiej”), ugrzecznienie i jeśli się już w ocenie trafi jakiś zarzut, to puzur jego jest tak zawalowany, iż zupełnie nie doje się odczuć.

To, że recenzent wobec mojej książki wystąpił bez rezerwacji, że w całej pełni obnażył jej niedostatki (mnie stało o to czy prawdziwie, czy nie), powinno mi pochwalać. To znaczy, że jako autor zasłużyłem na mocne uderzenie i jeśli autor godnym krytycznej uwagi. Tylko, że budzą się we mnie pewne wątpliwości. Jak to, czy na łódzkim rynku pisańskim tylko ja mam być godnym pełnej krytyki?

Wątpliwość tych jest nieco więcej. Chciałoby być, iż mnie się wydawało, że pisałem satyrę i że takie uchodziły moje opowiadania. Za takie zostały przyjęte przez wydawcę i wydane w „Bibliotece Satyry”. Tymczasem recenzent jak gdyby mówił o czymś innym. Miał tytuł recenzji „Satyrycy na wsi” wcale z niej nie wynika, że mówi o satyrze.

To, co u mnie zostało celowo wprowadzone miejscami, owa umowna publicystyka, omówienia, cała felietonowa konwencja, została wzięta przez autora recenzji na serio. Jak gdyby miał do czytelnika z prozą niesatyryczną.

Zdałem sobie sprawę z niedostatku niektórych opowiadań w „Pomocy sąsiadkiej”, powierzonej, jak w opowiadaniu „Sumienie obywatelskie”, czy schematyzmu, jak w opowiadaniu tytułowym. Jednakże nie recenzent nie wskazał, wolął uderzyć na oślep za pomocą ogólnikowych sformułowań i gromkich zarzutów, rozstrzygnięć na całą książkę. Oczekiwałem pełniejszej, bardziej odpowiedzialnej oceny. Proszę o zamieszczenie niniejszej wypowiedzi w bieżącym numerze „Łodzi Literackiej” i łaczą wyrazy koleżeńskiego szacunku.

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

Notatnik kulturalny

ŻYCIE ŚWIETLIC

Zagadnienie podniesienia poziomu kulturalnego pracowników M.P.K. doceniane jest należycie przez organizację społeczną i kierownictwo przedsiębiorstwa. „Tramwajarz” powinien w swojej codziennej pracy wykazać dużo umiejętności współpracy z ludźmi i stać na właściwym poziomie kulturalnym, dlatego też kulturę około 5 tysięcy pracowników M.P.K. trzeba stale podnosić. Komisja K.O. przy M.P.K. naprawdę pracuje; dba ona o doskonalenie pracowników oraz stara się dostarczyć im po pracy rozrywek kulturalnych. W pięciu świetlicach mieszczących się przy zajezdniach zorganizowane są kursy szkolenia ideologicznego, dobrego czytania, zespoły czytelnicze i Wszelchni Radiowej, odbywają się wieczory literackie i odczyty. Przy świetlicach istnieją dobrze zaopatrzone biblioteki, jest do dyspozycji wszelaki sprzęt świetlicowy. Organizuje się akademie okolicznościowe, wieczornice, wyświetla filmy dla dzieci i dla dorosłych. Radiowęzeł zakładowy nadaje specjalne audycje, gazetka „Tramwajarz Łódzki” wychodzi w ilości 2 tys. egzemplarzy.

Komisja stara się także wciągnąć pracowników do czynnego udziału w życiu kulturalnym. Powstały liczne sekcje artystyczne, jak znana w Łodzi orkiestra dęta i smyczkowa, 3 grupy dramatyczne, chór, balet i grupa recytatorska. Całkowicie pracą tego zespołu kieruje Jan Zimnowoda, „na codzień” pracownik M.P.K. Sekcje artystyczne występują w imprezach różnej imprezy — występowały na festynach, w innych instytucjach i na zebraniach przedwyborczych. Ostatnio ambitne zespoły artystyczne postanowiły całkowicie własnymi siłami realizować części artystyczne wszelkich uroczystości wewnętrznych.

Ciekawym wydarzeniem w życiu łódzkich świetlic będzie wystawienie przez zespoły M.P.K. montażu słowno-muzycznego pt. „My, tramwajarze” z tekstami Wojciecha Krzyżanowskiego, pracowników M.P.K., w reżyserii Jana Zimnowody. Cały „aktyw artystyczny” przygotowuje się do premiery mającej nastąpić 1-go maja.

Osiągnięcia powyższe są tym cenniejsze, że zdobyto je w trudnych warunkach przez ludzi pracujących na różnych zmianach i w różnych punktach miasta.

Komisja K.O. planuje obecnie szczególne zająć się poziomem pracy oświatowej. Przewodniczącą komisji, Irenę Skibińską, całemu zespołowi artystycznemu oraz opiekującą się jego pracą dyrektorki M.P.K. należy życzyć dalszych osiągnięć.

* * *

Świetlica Spółdzielni Pracy „Kusznierz” powstała dzięki staraniom Zarządu, z bardzo skromnego pomieszczenia. Obecnie pracują w niej zespoły artystyczne: dramatyczny, balet, balet dziecięcy oraz chór żeński. Szczególnymi osiągnięciami legitymuje się zespół dramatyczny, który wystawiał m. in. „Wagrze 35” Lutowskiego (reżyseria ob. Okopińskiego) i „Za tych co na morzu” Lawreniewa. Zespół ten dał wiele przedstawień dla spółdzielców, znany jest także szerszymi rzeszom mieszkańców Łodzi, m. in. dzięki swym występom w Teatrze Nowym i Domu Żołnierza. Balet dziecięcy występował także poza Spółdzielnią na kilku uroczystych akademiach w Łodzi i na zebraniach przedwyborczych.

Zarząd Spółdzielni stara się pomagać zespołom artystycznym w pracy, doceniając jej znaczenie. Pomoc ta ujawnia się m. in. w takim organizowaniu pracy produkcyjnej członków Zespołów, które by umożliwiała im swobodne uczestnictwo w próbach.

Obecnie, w oparciu o aktywność Spółdzielni „Kusznierz” zaczyna powstawać (trwają już próby) wielki Międzyzwiązkowy Zespół Pieśni i Tańca, składający się z około 200 uczestników. Administracja tego zespołu zajmuje się przewodniczącą Spółdzielni „Kusznierz”, tow. Kafemana, nad poziomem artystycznym pracuje zespół wykwalifikowanych instruktorów: prof. Krzyński, reżyser Dowgird, choreografka Miazgowa, Pagowski i inni. Ambicją uczestników, instruktorów i kierownictwa Zespołu jest przygotowanie pierwszego jego występu w sposób zabezpieczający duży sukces artystyczny.

* * *

Skuteczny i żywy sposób popularyzacji literatury zastosował zespół „słowa mówionego” przy Łódzkim Przedsiębiorstwie Remontowo-Budowlanym w Łodzi. Wykorzystując sugestie tow. Stefana Mostowskiego członkowie zespołu, fizycy i umysłowi pracownicy LPRB, wybruszyli koletywnie jakiś bardziej dramatyczny fragment interesującej ich książki przystępują do pracy nad jego inscenizacją. Przy pomocy teatrów łódzkich, które wypożyczają zespołowi odpowiednie kostiumy, zespół przygotowuje się do występu, który najczęściej organizowany jest w jednym z hoteli robotniczych. Występ składa się z inscenizacji zamkniętej krótkim komentarzem, po czym następuje dyskusja nad ukazanymi postaciami, środowiskiem, w jakim one żyją itp. Takie dyskusje, w których bierze żywy udział audytorium, doskonale wpływają na zainteresowanie się ich uczestników książkami, na trafne ocenianie ludzi i sytuacji życiowych i znacznie rozszerzają światopogląd dyskutantów. Warto podkreślić, że w dyskusjach uczestniczą przede wszystkim pracownicy fizyczny, stanowiący większość załogi przedsiębiorstwa, a forma upowszechniania czytelnictwa warta jest naśladowania. Zespół zasługuje na nadanie trośkiw opiekę Dyrekcji, Rady Zakładowej i ORZZ. Powinien chyba jednak zmienić nieco swą nazwę i mianować się „zespołem żywego słowa”, a nie „słowa mówionego”.

* * *

Chór Spółdzielni Pracy Pracowników Szewskich „Przyszłość Robotnicza” powstał w 1953 r. a w pół roku później na powołaniach eliminacyjnych zespołów artystycznych zajął I miejsce i został odznaczony dyplomem Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Po raz pierwszy w dziejach rzemiosła pracownicy szewscy potrafili zorganizować tak liczny chór i postawić go na wysokim poziomie. Poza chórem

w skład zespołu artystycznego wchodził solista i kwartet. Całością dyryguje tow. J. Horwich, akompaniuje K. Deląg. Ogólnym kierownikiem chóru jest tow. Nowicki. Zespół artystyczny występował w W.D.K., na festynach, zebraniach przedwyborczych oraz różnych akademiach — ogółem 50 razy. Obecnie cały zespół wybiera się do Sanatorium w Tuszynie, aby dać koncert dla chorych.

Sekcja Kulturalno-Oświatowa, której przewodniczącym jest ob. Siliń, udało się również stworzyć przyciągającą świetlicę. Pracownicy interesują się swoją świetlicą, biorą w jej życiu czynny udział. Istnieje drużyna szachowa, która brała udział w rozgrywkach o puchar Spółdzielczej Rady Okręgu, obecnie gra w turnieju o puchar Rady Kola „Start 12”.

Praca kulturalno-oświatowa w Spółdzielni „Przyszłość Robotnicza” stoi na właściwym poziomie. Jest w wielkiej mierze zasługą zarządu Spółdzielni i organizacji społecznych, które dążą do stworzenia jak najlepszych warunków kulturalno-oświatowych.

* * *

Zakłady Gazownictwa Okręgu Łódzkiego posiadają świetlicę przy ul. Targowej. Jest ona dobrze wyposażona w sprzęt świetlicowy, odbywają się tam odczyty, szkolenie zawodowe i ideologiczne, turnieje szachowe, ma swoją siedzibę klub racja nalkotatorów. Na uwagę zasługuje fakt, że w życiu świetlicowym biorą czynny udział pracownicy w starszym wieku, jakich jest większość w Gazowni. Mówiąc o pracy świetlicowej, myśli się przede wszystkim o młodzieży. Przykład Świetlicy Gazowni wskazuje, że ludzie, których młodzież minęła, również chętnie korzystają ze zdobyczy socjalno-kulturalnych.

42 numery

„W OBRONIE POKOJU”

Od r. 1952 ukazuje się w Polsce pismo ogromnie ciekawe, lecz, niestety, szerszemu ogółowi czytelników zupełnie nieznanne. Zastanawiałem się niejednokrotnie nad tym, czemu „W obronie pokoju” nie cieszy się taką popularnością, na jaką zasługuje.

I myślę sobie, iż jedną z przyczyn malego zainteresowania się pismem jest jego tytuł. Czytelnik rzuciwszy okiem na ten „referatowy” tytuł, nie zagląda nawet do środka, przypuszczając, że miesięcznik ów zawiera jedynie i wyłącznie referaty i sprawozdania z kongresów i akcji pokojowych.

I oczywiście, czytelnik się myli. Bo pismo „W obronie pokoju” służy, rzecz jasna, sprawie umacniania pokoju na świecie, ale nie przestaje ani chwilę być pismem żywym, ciekawym i nowością atrakcyjnym. Redakcja wykorzystuje wszelkie formy wypowiedzi literackiej: artykuły publicystyczne, wywiady, felietony, opowiadania, humoreskę, nie ucieka nawet od drukowania większych treści.

To właśnie „W obronie pokoju” ukazała się w odcinkach nowa powieść Ilji Erenburga „Odwił”, tak szeroko dyskutowana w Związku Radzieckim. Osobny dział tego pisma stanowi wiadomości z dziedziny najnowszych osiągnięć naukowych.

Na łamach „W obronie pokoju” spotykają się wszyscy postępowi pisarze, działacze, publicyści i naukowcy całego świata. Jest to właściwie jedyne pismo ukazujące się w języku polskim, z którego możemy dowiedzieć się o innych krajach i narodach, zwłaszcza zachodnich, wielu ciekawych rzeczy, podanych w sposób poważny, lecz zarazem popularny, łatwy do przyswojenia nawet przez czytelnika zupełnie w tych zagadnieniach nie zorientowanego.

Dlatego wydaje mi się, że pismo „W obronie pokoju” należy szeroko spopularyzować wśród ludzi i zachęcić ich do stałego czytania. „W obronie pokoju”, dostarczając każdego miesiąca ciekawej i kształcącej lektury, zasłużyło sobie w całej pełni na uznanie i poparcie.

JK.

P.S.: Stwierdzamy, że 43 numer omawianego tutaj pisma ukazał się pod zmienionym tytułem „Wiodokregi”.

„POMORZE”

Z okazji X rocznicy wyzwolenia Bydgoszczy, literaci Bydgoszczy i Torunia wydali jednodniówką pt. „Pomorze”.

Numer, bogato ilustrowany reprodukcjami plastycznymi, przynosi na szesnastu stronach dużo interesujących pozycji.

Marian Turwid opowiada o Wyczółkowskim, An-na Jachłina wspomina pisze o kaszubskim pieśniarzu, Wiccu Rogali.

Zwracając na siebie uwagę wiersze Wiesława Rogowskiego. Wiersze poza tym drukują: Kazimierz Hoffman, Andrzej Baszkowski, Alfred Kowalkowski, Dariusz Czaplicki, Mirosław Kasjan.

Znajdujemy w numerze prozę Władysława Dunarowskiego, Zbigniewa Gapińskiego, Tadeusza Pełtykowskiego i in.

Treść numeru dopełnia publicystyka bieżąca, kronika literacka, satyra.

Oczywiście, spotyka się w numerze i pozycje zdecydowanie słabe.

Wydaje się jednak, iż znaczną część tych minusów poszczególnych pozycji należy złożyć na karb sytuacji. Literaci Oddziału Bydgoskiego po prostu nie mają gdzie nobywać doświadczeń, walczyć o doskonałość swoich możliwości.

W piśmie nożnej sprawy to wyglądać prosto. Wszyscy zgadzają się na to, że bez boiska i piłki nie może istnieć drużyna. Po dziś dzień jednak nie wszyscy uświadamiają sobie, iż bez pisma i wydawnictwa nie może rozwinąć się terenowy ruch literacki i w ogóle artystyczny.

Literatom bydgoskim szczerze należy życzyć, aby jednodniówka, zgodnie z ich intencjami, stała się zaczątkiem regularnego pisma — tym bardziej, iż w pierwszych latach po wyzwoleniu ukazywała się w Bydgoszczy „Arkona”.

ŁÓDŹ LITERACKA

11

W X-tą rocznicę wyzwolenia



TAK RODZIŁA SIĘ WOLNOŚĆ

Wspomnienia uczestników walk
o wyzwolenie Ojczyzny

Obszerny tom, form. 20x27 cm oprawny
w płótno, bogato ilustrowany, 8 plansz
kolorowych

Stron 416 Cena zł. 35.—

Wydawnictwo
Ministerstwa Obrony Narodowej



WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

O „ŁAŻNI” MAJAKOWSKIEGO

W tej łaźni — sami znajomkowie,
Ja znam ich wszystkich osobliwie:
Pobledonosikow odwiedzał
Mnie w najgroźniejszych słów asyście.

Słowa „socjalizm” i „komunizm”
Przeżuwał w urzędniczych ustach
I również tchnęła z nich ta sama
Pobledonosikowska pustka.

Znam również i Belwedońskiego,
Którego płótna z krzepy słońca:
Wczoraj pokazał mi obrazek
Namalowany wazeliną.

Z optymistycznie chytrą miną
I koloraturowo cienko
„Nie załatwiamy, odrzucamy”,
Śpiewał mi imię Optymistenko.

I mister Keatch to mój znajomek,
Poznałem go niedawno we śnie,
Gdy chciał powieścić mnie, rostrzeląc,
Kupić i sprzedać jednocześnie.

Na szczęście, oprócz tych znajomków,
Ujrzałem tu i mą znajomą:
Rewolucyjną, gniewną pańszę,
Szyderczą, twórczą i natchnioną!

Niech pasja ta z naszego życia
Wymiecie głównych grzechów siedem,
A oprócz głównych niech wymiecie
Pomniejszych grzeszków tysiąc jeden!

JERZY FICOWSKI

ŁĘSTY MARCIN

Nie widziałem ja grubszego wieprzka
Od łęstego Marcina,
Drońka pod nim się niby kładeczka
ugina.

Ej, pochował ci wory pszenicy,
ej, pochował i żyta.
Będą szczyry pojadać w piwnicy
do syta.

Jak się z nimi stowarzyszył grecznie,
zjadły korca półpięci.
Jak go widzą, każdy ogoneczkiem
pokreśli.

Nie turbujcie się, szczyrzyńska łase —
chcecie jado ośmiścić?
Jak Marcinka chcecie na okrasę,
to naćci.

DROBNY INCYDENT

Kilka tygodni temu goście, zebrani na bankiecie, wydanym w Londynie przez dowództwo RAF, byli świadkami przykrego incydentu. Dwóch wytwornych panów, ubranych we fraki, w pewnym momencie zaczęło się okładać po buziach. Na sali zapętnowała konsternacja, jako że bijący się byli gośćmi i w dodatku cudzoziemcami.

Bijących się rozdzielono i sprawą by uciłha, gdyby... nie to, że jeden z uczestników bijatyki, niejaki Herr Helmut Krebs, były major Luftwaffe, zwrócił się z prośbą do jednego z wyższych oficerów angielskiego lotnictwa o sprawdzenie w archiwum Royal Air Force, którego dnia została obrzucona bombami katedra Westminsterska.

Herr major Helmut Krebs twierdził z całą stanowczością, iż było to w dniu 28 listopada 1942 roku, po czym dodał skromnie, że o jakiegokolwiek pomyśle nie może być mowy, gdyż sam tego wyzynu dokonał, a po powrocie na swe macierzyste lotnisko został za omawiany czyn wymieniony w rozkazie dziennym. Na koniec Herr Helmut Krebs dodał, że obity po buzi także major tejsze Luftwaffe, Arnold Rimmelmossor, jest zwykłym oszustem, skoro śmie twierdzić, że to on bombardował katedrę i to kiedy? W czerwcu 1942 roku! Tego rodzaju wystąpienie Herr major Krebs uważa za możliwe tylko za złośliwe fałszowanie prawdy i chęć strojenia się w cudze wawrzyny, za taką rzecz należało się właśnie gościowi po buzi.

Ponieważ zapytanie, skierowane do wyższego oficera angielskiego, wypowiedziane było po angielsku, nic dziwnego, że na sali zapanała wspomniana konsternacja. Ale nie na długo, gdyż jeden z świadków autorytatywnie stwierdził, iż katedra Westminsterska była bombardowana rzeczywiście dwukrotnie i to właśnie w obu spornych terminach.

Wobec całkowitego wyjaśnienia sprawy, Herr major Helmut Krebs, jako diabeł, przeprosił! Herr majora Arnolda Rimmelmossora — bankiet zaś przeciągnął się do późna... Tylko że obaj sprawcy nieprzyjemnego zajścia nie mogli zrozumieć dziwnego nastroju, jaki zapanał na sali. Oficerowie angielscy siedzieli pochmurni i milczący.

Dziwny naród ci Angliści. Zajście przecież zostało zlikwidowane, dyskutanci doszli do porozumienia i nawet się przeprosili, wobec tego czy warto przejmować się tak drobnym incydentem?

Opr. PIOTR GOSZCZYŃSKI

ŁÓDŹ LITERACKA



RYSZARD DOROBA

NA „GŁOS TYGODNIA”

Od zepsutej płyty bardziej cenię ciszę —
zbyt często w tym „Głosie” głos jednego słyszę.

O „ESTRADZIE SATYRYCZNEJ”

Satyry chcą od „Satyryków” —
bo mam wokalnych satis ryków.

HORACY SAFRIN

PRZYGODA PREZESA GS

(Niektóre sklepy GS tylko dwa
razy miesięcznie zaopatrują się w
świeże pieczywo).

Gdy powracał wieczorem do swojego domu,
ktoś wewnątrz cisnął razowca szczerstwiego kromką.
Prezes stanął i westchnął żobnie: „Kłnę się niebem!
Oni na mnie kamieniem, choć ja na nich
chlebem...”

O PEWNEJ ŚPIEWACZCE

Gdy jej głos zawodzący rozległ się na sali,
co wrażliwi słuchacze ze swych miejsc powstali.
Nagle w tłoku ktoś krzyknął: „Miejcież rozum
przebie! —
Niech się najpierw ratują kobiety i dzieci!”

RYSZARD KUJAWSKI

O WIEJSKIM SPECU

Wino z żyta robił przed rokiem
i jęczmień miał kiedyś pod okiem,
więc chwały jego płońce świeca:
ma się dziś za wiejskiego specu.

NA PRODUKCJĘ UBOCZNĄ

Z początku chętką ich bodła
noży i brzytwę się chwycić,
ale — produkcja zawiadła:
wyszły „guzik” i „nici”...

ANTONI SIKORSKI

DO MASZYNISTKI

Rytmicznej pracy tyś pionierka!
Twój system cię rozslawi:
trzy razy nosem — do lusterka,
raz potem — palcem w klawisz!

JAN SZTAUDYNGER

PRZEBACZ!

Kiedy już siedzę przy ładnej osobie,
to trzymam ręce przy niej, nie przy sobie.

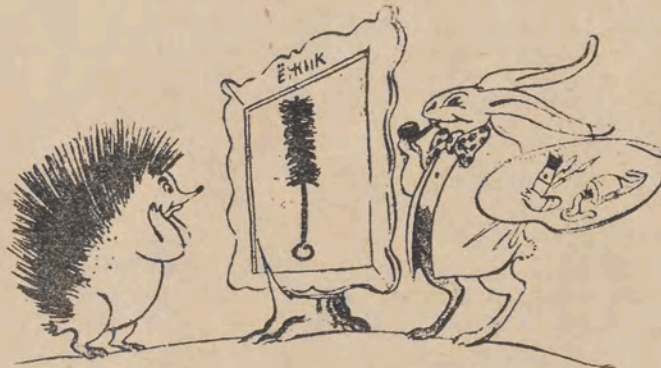
NA FOOTBALISTĘ

Zawód to niepoważny trocha,
bo to się kopie, co się kocha.

DO KAŻDEGO

Nad swoją winą dobrze się zastanów,
a nie będzie chuliganów!

FORMALISTA



— Oto pański portret, drogi Jeżu!

(„Ogoniok”, Moskwa)

TADEUSZ GIGIER

NA PISMAKÓW Z „WOLNEJ POLSKI”

Każdy z błotem rodzinny kraj zmieszać się stara
w myśl zasady: „Grzeb w błocie, a znajdziesz
dolarą”.

ANDRZEJ BRYCHT

O MALARZU

O malarzu rzekł raz Idzi:
— Jego pychy sedno tu jest:
on maluje tak, jak widzi,
lecz nie widzi, jak maluje...

ADAM SZCZERBOWSKI

PIES I OSIÓŁ

Osiół na sejmie zwierząt ryczeniem donosiłem
chwalił się: — Mnie cześć wielka winna być oddana,
bo mac moja dźwigała w Jeruzalem Panal
— Lecz mimo to — pies warknął — poczęła cię z
osłem.

RYSZARD BRUDZIŃSKI

DO AKTORA ESTRADOWEGO

Uroczystość jest w zakładzie.
Stoi trio na estradzie —
występuje w takim szyku:
najpierw śpiewa: „Wio, koniku!”...
Pieśń o POM-ie,
skecz o złomie
i satyrę na włos w zupie,
a na końcu żart o skupie.

Jest poranek w Filharmonii,
więc w komplecie trio goni...
„Wio, koniku!” najpierw śpiewa,
potem program tak opiewa:
pieśń o POM-ie,
skecz o złomie,
doskonaly żart o skupie
i satyra na włos w zupie.

Wieczór pieśni i humoru —
ktożby stronił od wieczoru?
od piosenek: „Wio, koniku!”...
Znow zaczęli w znanym szyku
Pieśń o POM-ie,
skecz o złomie...
Nie skończyli, bo pognali,
na spotkanie w innej sali.

I tak w kółko, na estradzie,
w rewii, w szkole i w zakładzie,
czy jest święto czy rocznica,
jeden program ich zachwycał...

Gdzie jest jakiś program nowy
mój aktorze estradowy?
Sam nje lubię włosów w zupie,
jak programów, gdy są głupie!

REDAGUJE ZESPÓŁ. WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH, OD DZIAŁ W ŁÓDZI

Adres Redakcji: Łódź, Mickiewicza 8, m 8
Godziny przyjęć Redakcji: poniedziałki
17—18, telefon 180-59. Rękopisów nie za-
mówionych nie zwraca się.

Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź.
Zwirki 17. Zam. 630. N. 8000. — D-6-6205
Papier satyn. kl. V.

SATYRA Z LAT 1905—1906

Z ULICY

Jeździą, tłuką,
Naksztal furii!
Tu odważni,
A w Mandżurii?

INSTRUKCJA

— Pomnie, jeżeli kto na ulicy zawola: — Chce-
my res publiku, tak ty bracie: riez
publiku!

(Mucha, 1905)

RUCH ULICZNY W WARSZAWIE

W dniu 1 stycznia 1906 roku na ulicach Warsza-
wy było 599.900 mieszkańców i 100 żołnierzy; ra-
zem 600.000.

W dn. 1 lutego, po zamknięciu pewnej liczby
mieszkańców w Cytadeli, na Pawiaku i w Ratuszu,
i po wypuszczeniu pewnej liczby żołnierzy z ko-
szar na miasto, było na ulicach 500.000 mieszkań-
ców i żołnierzy 100.000.

W dn. 1 kwietnia było mieszkańców 400.000 i
żołnierzy 200.000.

W dn. 1 lipca mieszkańców 300.000 i żołnierzy
300.000.

W dn. 1 stycznia 1907 roku na ulicach Warszawy
może być 600.000 żołnierzy, zaś mieszkańcy będą
w Cytadeli, na Pawiaku i w Ratuszu.

(Sznurek, 1906)

Z „ABECADŁA DLA DZIECI”

...Kozunie na konie
Siedli z knutem w dłoni,
Zrobią w naszej stronie
Konstytucję oni...

(Bąk, 1906)

W CYRKULE

— A ja mówię czto wszech żydów istrebić! nadal
— Eee... czto wy...
— Konieczno! Nie bud' żydów sowsiem, nie bur-
diet i pogromowi!

(Stryczek, 1906)

I TO MOZEBNE

— Nie wie pan, czy przy wyborach będzie za-
stosowany system głosowania z listy?
— Nie wiem, ale sądzę, że pewnie system arest-
towania z listy.

(Motyl, 1906)

ZABAWA

— Niech mama da mi parę czystych chusteczek.
— Na co ci?
— Muszę dzieciom usta pozatykać. Bawimy się
w Dumę: ja będę prezesem, a to będą posły.

(Dzieciol, 1906)

GLOSSA

W Polsce nie było nigdy, jak w innych krajach,
gnębicieli i gnębionych, jeno Polacy gnębiący i
Polacy zgneębieni, co nie jest to samo.

(Chochoł, 1906)

Z HIGH LIFE’U

— Materie jedwabne znów podrożały.
— Dlaczego?
— Z powodu strajku robotników.
— Holota! To jest wdzięczność za to, że przez
cały karnawał tańczyliśmy dla nich na balach do-
broczynnych.

* * *

— Jednak Łódź liczy czterysta tysięcy mieszkań-
ców?
— Cóż znowu? Tylko pięćdziesiąt, reszta to ro-
botnicy.

GŁÓD I MORALNOŚĆ

— Z czego wy żyjecie, staruszek?
— Z tego, że mi córka da, która chodzi po No-
wym Świecie.
— Nie wstyd wam karmić się takim chlebem?
Gdzie moralność?
— Gdzie? Od frontu na pierwszym piętrze, nas,
suteryniarzy nie stać na taką przyjemność.

HONOROWY

— Podobno babka pańska miała stragan z kar-
tofilami?
— O, nie, pani radczyni, babka moja była całe
życie utrzymanką naczelnika komór w Królewstwie.
Gdybym miał babkę straganiarkę, nie przeżyłbym
tej hańby, dawnobym się zastrzelił.

(Kukulka, 1906)

ZAWIEDZIE SIĘ

— Minister Stolypin powiedział, że pod jego rzą-
dami każdy będzie mógł zostać gubernatorem, była
tylko by uczyli i przywołani człowiekiem...
— Ho!... ho!... — jakie wygórowane żądanie! Z
takim cenzurem moralnym nikt do pana Stolypina
na służbę nie pójdzie.

(Kruk, 1906)

BURZUJ

(fragmenty)

Burżuj — łagodny — cichy
Nie pluje w gwiazd kielichy,
Pilnuje własnej michy,
Burżuj — łagodny — cichy.

Ma domków dwa lub cztery,
Małżonkę z „pewnej sfery”,
W polowie swej kariery
Ma domków dwa lub cztery...

Dusza w nim tkwi rogata,
Wzdycha do rządów bala,
Nie cierpi delegata,
Dusza w nim tkwi rogata...

Nie lubi, jak dziś, czasów
Bomb, strzałów, ni hałasów;
Żyje w przecuciu basów,
Nie lubi, jak dziś, czasów.

Uciekły za granicę,
By nie czynsz, kamienie
I strach — wyjść na ulicę,
Uciekły za granicę.

(Kukulka, 1906)



— Zabawmy się w chowanego! Wy będziecie chuliganami,
a ja będę milicjantem i będę się przed wami chował!

(„Wozyk”, Mińsk)